# OPEN EYES MAGAZINE

nr 1 | maj 2017 r. | **oees.pl** | *egzemplarz bezpłatny*

MAGAZYN OTWARTYCH OCZU

ISSN 2544-1213

open eyes economy summit

16 STRONA

Na paliwie **z niedojedzonego kotleta** do pracy

34 STRONA

**Sprzedawcy z misją –** muszą edukować o smogu i oszczędzaniu energii

40 STRONA

**Kalisz – nowy dyktator chodnikowej mody**

8 STRONA

**Megasukces mini-USB,** czyli jak biurokraci uratowali podróże biznesowe

24 STRONA

ŻYJ ŻYCIEM **OPEN EYES ECONOMY**

Nasza wersja dziewczyny z rozkładówki

KRAKÓW REGION
MAŁOPOLSKA

# DLACZEGO MAŁOPOLSKA?

- **ogromny potencjał ludzki**
  blisko 180 tysięcy studentów
  31 szkół wyższych
  prawie 370 tysięcy przedsiębiorstw
- **zaplecze infrastrukturalne dla prowadzenia B+R oraz edukacji**
  ponad 13 tysięcy osób zatrudnionych w sektorze badawczo-rozwojowym
- **dynamiczny rozwój**
  wzrost PKB o blisko 30% w latach 2008–2013
  całkowita wielkość zainwestowanego kapitału zagranicznego w regionie w latach 1989–2014 przekroczyła 19,3 mld USD
- **partnerstwo i współpraca**
  one-stop-shop dla inwestorów i eksporterów
- **2,9 mld EUR funduszy unijnych na rozwój do 2020 roku**

MAŁOPOLSKA
Europejski Region Przedsiębiorczości 2016

Business in Małopolska

www.malopolska.pl www.eer.malopolska.pl www.businessinmalopolska.pl

## The host city

41st session of the **UNESCO World Heritage Committee**
2–12 July 2017, ICE Kraków Congress Centre

**UEFA Under21 Championship** Poland 2017
16–30 June 2017

**World Congress on Osteoporosis, Osteoarthritis and Musculoskeletal Diseases**
19–22 April 2018, ICE Kraków Congress Centre

*...Kraków is the host city for over 5000 conferences every year...*

www.krakow.travel
www.convention.krakow.pl

MIASTO-IDEA

MIĘDZYNARODOWY

**1** **Megasukces mini-USB,**
czyli jak biurokraci uratowali podróże biznesowe
8 STRONA

**2** **Skrzynie,** które zmieniły nasz świat
10 STRONA

**3** **Europa już nigdy niczego nie wyrzuci**
12 STRONA

**4** **Smog nasz powszedni,**
dziedzictwo rewolucji przemysłowej
14 STRONA

**5** Na paliwie **z niedojedzonego kotleta** do pracy
16 STRONA

**6** **Lokalne jedzenie,**
lokalne zyski, lokalne szczęście
18 STRONA

**7** **Upcykling miejsc,**
czyli drugie życie porzuconych budynków
20 STRONA

**8** Miejski samochód, **czyli wolność od parkowania**
22 STRONA

FIRMA-IDEA

**9** **W biznesie chodzi o rozwiązywanie problemów ludzi, nie o pieniądze**
27 STRONA

**10** **Prąd ze słońca,**
jak meble w mieszkaniu – oczywisty
30 STRONA

**11** **Sprzedawcy z misją**
– muszą edukować o smogu i oszczędzaniu energii
34 STRONA

KULTURA-MARKA

**12** **Tylko szaleńcy** nie piją wody z kranu
36 STRONA

**13** **Winda na wynajem,**
czyli taksówką między piętrami
38 STRONA

CZŁOWIEK-PRACA

**14** **Kalisz – nowy dyktator mody chodnikowej**
40 STRONA

**15** ***Gig economy,***
czyli ile kosztuje wolność
42 STRONA



**OPEN EYES MAGAZINE**
*Magazyn otwartych oczu*
**oees.pl**

WYDAWCA: **FUNDACJA GOSPODARKI I ADMINISTRACJI PUBLICZNEJ**
REDAKCJA: **Bartosz Pilat**
PROJEKT, SKŁAD: **Magdalena Ciepielowska**
REDAKCJA JĘZYKOWA, KOREKTA: **Anna Papiernik**
Reklama:
**Dominika Barycka**
**d.barycka@eskadra.pl**

KONTAKT: ul. Rakowicka 10b/10, Kraków
Tel. (12) 423 76 05
**magazine@oees.pl**

TWITTER: **@OpenEyesEconomy**
FACEBOOK: **@OpenEyesEconomy**

# FAIR TRADE, FAIR GAME

**prof. dr hab. Jerzy Hausner**
Wydział Gospodarki i Administracji Publicznej na Uniwersytecie Ekonomicznym w Krakowie, Przewodniczący Rady Programowej OEES

**Mateusz Zmyślony**
Dyrektor Kreatywny OEES

Kto ma portfel, ten ma władzę. Każdy zakup to głos oddany w pozornie błahych, a w gruncie rzeczy fundamentalnych codziennych wyborach. Bo kupując, tworzymy świat. A kupując odpowiedzialnie, zmieniamy go w świat Open Eyes Economy.

W XX wieku gospodarka zachłysnęła się globalizacją, optymalizacją procesów, ciągłym unowocześnianiem i szalonym wyścigiem innowacji, napędzanym przez wolnorynkową konkurencję. Biznes pewnie nigdy nie przestanie pędzić w pogoni za zyskiem. Taka jego natura, niech pędzi.

Czas jednak oswoić tę bestię, bo ma pracować na naszą korzyść, a nie przeciwko nam. Zysk, jako cel sam dla siebie, ma zerową wartość dla społeczeństwa. Chciwy biznes, bezwzględnie wykorzystujący ekosystem i społeczeństwo musimy zmienić w biznes oparty na wartościach, w firmy-idee.

Narzędziem do okiełznania bestii biznesu jest potęga społecznego zaufania. Tylko ono pozwoli, by rynek zaczęły podbijać firmy etyczne, odpowiedzialne społecznie i szanujące środowisko. Innowacyjność może dziś oznaczać oszczędzanie surowców naturalnych, a więc także ograniczanie wyrzucania ich na wysypisko. Zyskiem może być lojalność pracowników, którzy zechcą angażować się w życie firmy, ponieważ będą widzieć sens swojej pracy.

Firmy coraz częściej czują moc konsumentów. Organizowane w internecie bojkoty stają się coraz dotkliwsze. Globalne społeczeństwo dojrzewa do zmiany. Wyraźną wskazówką tych procesów są dane dotyczące tzw. pokolenia millenialsów. Większość młodych ludzi z krajów zachodnioeuropejskiej kultury, kiedy rozważa podjęcie jakiejś pracy, pyta: „A co mój pracodawca robi dla świata?". Pogardzane w kulturze popularnej przełomu lat 80. i 90. XX w. standardy CSR (Korporacyjnej Odpowiedzialności Społecznej) stały się dla rodzącego się wtedy pokolenia zbiorem oczywistych wartości. W oczach „millenialsów", jeśli pracodawca nie ma żadnej strategii CSR, jego działania nie wspierają walki z globalnym ociepleniem, stołówka w biurowcu nie zaopatruje się lokalnie, a zarząd nie promuje transportu publicznego, firma nie jest godna polecenia. W 2030 r. tacy pracownicy będą stanowić 80 proc. wszystkich na świecie.

Firma-idea bierze odpowiedzialność za cały proces, w ramach którego powstają jej produkty i usługi. Jeśli będzie to firma odzieżowa, weźmie na siebie odpowiedzialność za metody pozyskiwania bawełny, podnoszenie standardów pracy i płacy szwaczek w azjatyckich fabrykach, a także końcowy recykling lub upcykling swoich produktów. Firma zajmująca się sprzedażą kawy musi zadbać nie tylko o jej smak, ale również o to, by przyzwoicie zapłacono plantatorowi w Kolumbii lub Etiopii. To pierwsze ogniwo. Najlepiej, jeśli ostatnim będzie kawa w kubku wielorazowego użytku lub z papieru pochodzącego z recyklingu. Wytwórca mebli odpowiada z kolei nie tylko za dizajn oferowanych produktów, ale też za płace u swoich poddostawców, sadzenie większej liczby drzew, niż trzeba było ich wyciąć w celu pozyskania surowca, i produkowanie z materiałów pochodzących z odzysku. Metodą weryfikacji działań firm są certyfikaty i współpraca z takimi organizacjami jak Fair Trade czy Fair Wear. Rainforrest Alliance, WWF, Greenpeace, Otwarte Klatki.

W Polsce czasem może się nam wydawać, że znaczek Fair Trade na kubku kawy ze stacji Orlen nie ma znaczenia. Może u nas jeszcze tak jest, ale tuż za naszą zachodnią granicą takie oznakowania są już po prostu koniecznością. Świadomy konsument najczęściej nie rozważa nawet innego produktu niż fair trade. Za tą modą idzie lepszy świat. W Szwecji kolekcje ubrań typu fair wear to już większość towaru na półkach sklepów odzieżowych. Z danych producentów wynika, że również większość decyzji o zakupie kawy w Niemczech jest oparta o weryfikację, czy przygotowano ją w sposób fair.

Co dalej? Jednym z pierwszych warunków, jakie powinna spełnić firma-idea, jest oczywiście opodatkowanie w kraju konsumenta. Przed nami jest również oczyszczenie półek w sklepach spożywczych z niezdrowej żywności. W Polsce też przejmujemy ten zestaw wartości, czego dowodem są choćby wytyczne rządowe dotyczące szkolnych stołówek, które musiały podnieść jakość obiadów dla dzieci. Kolejnym krokiem będzie wydanie wojny zjawisku nazywanemu farmageddon – masowemu i bezlitosnemu przemysłowi odpowiedzialnemu za codzienną tragedię milionów zwierząt hodowlanych. Potem musimy stworzyć uczciwe banki.

Wyzwań jest wiele, a idee zmierzające do ich realizacji promujemy właśnie w ramach ruchu Open Eyes Economy. Nasz świat to świat firm-idei, które szanują pracowników, środowisko, planują nie w perspektywie kwartalnej, ale dalekosiężnie; firm, dla których idea gospodarki zamkniętego obiegu jest gwarancją trwałości. Świat OEE to epoka, w której nasze dobre obyczaje wpływają na jakość usług, a idee CSR wprost przekładają się na marketing odpowiedzialnej kultury życia. Świat OEE to jeszcze głębsza integracja kultur i polityki poszczególnych krajów w trosce o przyszłość gospodarki, środowiska, całego globu.

Zapraszamy do lektury pierwszego OEEMagazine, pisma, w którym opowiadamy o wyzwaniach stojących przed nami na drodze do świata opartego na wartościach rozumianych nie tylko jako zysk.

OEEMagazine to kolejny krok ruchu OEE, oficjalnie zainaugurowanego 15–16 listopada 2016 r. w czasie pierwszego Open Eyes Economy Summit. Przez 2 dni wystąpiło przed nimi 100 prelegentów z 20 krajów, którzy mówili o zagrożeniach międzynarodowych, uczciwych bankach, przygniatającej nas górze odpadów, bezpieczeństwie danych i o wielu, wielu innych istotnych sprawach naszego świata.

W tym roku widzimy się 14 i 15 listopada, znów w Centrum Kongresowym ICE w Krakowie. Rejestrujcie się, rezerwujcie terminy.

*Mateusz Zmyślony*

fot. OEES 2016

# 1 Megasukces mini-USB,

## czyli jak biurokraci uratowali podróże biznesowe

**Od września 2017 r. do sklepów nie można kierować urządzeń z silnikami mocniejszymi niż 900 W. W 2014 r. średnia moc silnika odkurzacza wynosiła 1800 W.**

fot. shutterstock

W obrębie Unii Europejskiej odkurzacz nie może mieć mocy większej niż 900 W, nie wolno sprzedawać żarówek, a każda opona musi mieć naklejoną informację wartościującą. To wszystko dzięki unijnym standardom. Żaden z nich nie okazał się jednak takim sukcesem jak wtyczka ładowarek do telefonów.

Legendarna już regulacja unijna dotyczy krzywizny banana i przywoływana jest przez eurosceptyków jako dowód na śmieszność brukselskiej biurokracji. O tym, że powstała po to, by chronić portugalskich hodowców bananów przed wyparciem ich z rynku przez wielkie koncerny, wie już mało kto, a na pewno nie wrogowie wspólnoty europejskiej.

Tego rodzaju standardów i regulacji powstały w Unii Europejskiej setki. Jedną z istotniejszych jest wymóg oznaczania nowych opon naklejkami, na których znajdziemy ocenę jakości hamowania danych opon na mokrej nawierzchni oraz umieszczone na czytelnej skali informacje dotyczące energooszczędności czy hałasu, jaki wytwarza tocząca się opona. Dla przeciętnego kierowcy taki system ocen to olbrzymie ułatwienie. Dzięki zwykłej naklejce ma minimalną gwarancję, że produkt, na który się decyduje, spełni jego oczekiwania (testy opon wykonuje się wg narzuconych odgórnie standardów). Naklejka zastępuje więc znajomego mechanika, który dotąd doradzał przy zakupie opon, zwykle wyłącznie na podstawie osobistych preferencji. Oczywiście ludzie szukający opon o najwyższych parametrach nadal muszą posiłkować się subiektywnymi testami wykonywanymi przez czasopisma motoryzacyjne lub stowarzyszenia branżowe – ci klienci stanowią jednak liczebny margines wśród kupujących.

Mniej znaną regulacją unijną jest systematyczne ograniczanie mocy silników sprzedawanych odkurzaczy. Od września 2017 do sklepów nie można kierować urządzeń z silnikami mocniejszym niż 900 W. W 2014 r., gdy wprowadzano ten wymóg, średnia moc odkurzacza sprzedawanego na terenie UE wynosiła 1800 W. Łatwo sobie więc wyobrazić, że w ciągu najbliższej dekady ilość energii zużywanej przy odkurzaniu spadnie o połowę. Co więcej, jak w przypadku opon, na odkurzaczach ma się znaleźć zestandaryzowana informacja o skuteczności odkurzania, która – zaznaczają unijni urzędnicy – nie zawsze jest zależna od mocy silnika danego urządzenia.

**Kupno nowego telefonu niemal zawsze oznaczało wyrzucenie do kosza starej ładowarki – te, jak wyliczono, co roku stanowiły masę ok. 50 tys. ton odpadów. Aż do czasu, gdy wprowadzono zunifikowane łącze.**

fot. shutterstock

Niezbyt lubianym pomysłem Unii było natomiast wycofywanie ze sprzedaży żarówek i zastąpienie ich świetlówkami, halogenami lub LED-ami jako oszczędniejszymi źródłami światła. Błąd tego rozwiązania polegał na tym, że za ograniczeniem sprzedaży żarówek nie poszły wymogi jakościowe dotyczące najpopularniejszej alternatywy: świetlówek. Część producentów zdecydowała się więc obniżyć ceny, ale jednocześnie i jakość świetlówek, niwecząc w ten sposób ekonomiczny sens zakazu sprzedaży żarówek. Takie pięć razy bardziej energooszczędne świetlówki nie są ani pięć razy trwalsze od żarówek, ani pięć razy droższe. W rzeczywistości świecą krócej, a kosztują dużo więcej. To z kolei skłoniło solidnych producentów, takich jak Osram, do wprowadzenia gwarancji na swoje produkty – tylko w ten sposób firma dbająca o jakość była w stanie uzasadnić wyższą niż u konkurencji cenę oferowanych produktów.

Co ciekawe, efekty rozporządzenia dotyczącego żarówek okazały się trochę inne, niż przewidywano, ale ostatecznie skuteczne. Przyspieszyły wejście na rynek LED-owych źródeł światła, zdecydowanie bardziej niezawodnych w porównaniu ze świetlówkami, a jednocześnie jeszcze oszczędniejszych.

Żaden z pomysłów unifikujących produkty na terenie Unii Europejskiej nie jest jednak kojarzony tak pozytywnie, jak wprowadzenie standardu jednego złącza ładowarek do telefonów: mini-USB.

W 2009 r. na terenie Unii sprzedawano ładowarki do telefonów z 30 różnymi typami końcówek. Nawet ci sami producenci bardzo często wypuszczali różne wtyczki. Kupno nowego telefonu niemal zawsze oznaczało więc wyrzucenie do kosza starej ładowarki, a te, jak wyliczono, co roku przeradzały się w masę ok. 50 tys. ton odpadów. Próbując rozwiązać coraz poważniejszy problem, Komisja Europejska i Parlament Europejski zaleciły producentom stworzenie wspólnego standardu ładowarki. Idea zyskała gigantyczne poparcie – telefony i smartfony stały się przecież nieodłączną częścią naszego życia. Jeszcze 8 lat temu jeśli podróżujący zapomniał ładowarki, spędzał mnóstwo czasu na poszukiwaniu osoby, która dysponowałaby interesującym go modelem. Dziś można poprosić o pomoc kogokolwiek, bo prawie każda ładowarka ma końcówkę zgodną ze standardem mini-USB. Co więcej, powinna mieć również wbudowane łącze USB, w które wpinamy popularny kabel USB–mini-USB. Dzięki temu większość urządzeń możemy ładować przez podpięcie do włączonego komputera.

Unia chce pójść jeszcze o krok dalej i zmusić producentów sprzętu telekomunikacyjnego, by do sprzedawanych telefonów dołączali identyczny dla wszystkich model ładowarki (różniący się najwyżej obudową). Nadal bowiem urządzenia te mają różną moc, co oznacza, że korzystanie z niedopasowanej ładowarki może skrócić żywotność baterii telefonu, a ta zbudowana jest z wielu toksycznych i drogocennych materiałów. Wszystkie te zabiegi mają na celu nie tylko podniesienie komfortu użytkowników, ale przede wszystkim zmniejszenie ilości odpadów elektronicznych, zaliczanych do najbardziej obciążających środowisko naturalne.

Jedyną unikającą powyższej standaryzacji firmą jest Apple. Przepisy wprowadzone w 2014 r. nie wymagają umieszczenia zunifikowanego łącza w telefonie, dlatego kalifornijski gigant nie musi nawet dołączać do sprzedawanych iPhone'ów ładowarki mającej przejściówkę z ich łącza na mini-USB. Wystarczy, że firma zadbała o stworzenie takiej przejściówki.

***pil***

**Solidni producenci, jak Osram, wprowadzili gwrancje na swoje produkty. Tylko w ten sposób firma dbająca o jakość, może uzasadnić wyższą niż u konkurencji cenę.**

fot. shutterstock

fot. shutterstock



# 2 Skrzynie, które zmieniły nasz świat

Dawno, dawno temu, jeszcze zanim ludzie wymyślili internet, powstała magiczna skrzynia, która zmieniła cały świat. **Na lepsze.**

Nie wszyscy są świadomi cichej rewolucji, jaka zaczęła się na przełomie lat 50. i 60. XX wieku. Mniej więcej w 1955 r. Malcolm McLean, przedsiębiorca z USA, postanowił przekuć marzenia w rzeczywistość i zostać prekursorem współczesnego systemu kontenerowego. Wpadł na pomysł, by przewożone dotąd luzem, chaotycznie ładowane towary spakować do uniwersalnej, solidnej skrzyni.

Wcześniej nikt na taki prosty pomysł nie wpadł. McLean był w dodatku wystarczająco zdeterminowany, żeby swoją ideę zaszczepić nie tylko na terenie USA, ale też na świecie. W 1968 roku na całym globie przyjęto jednakowe standardy określające kilka niepozornych cech kontenera do transportu towarów używanego już we wszystkich krajach.

Zdecydowano, że pudło to ma w wersji podstawowej 20 stóp, czyli nieco ponad 6 m długości. Wymiar ten może być większy. Istnieją także kontenery 20-, 30-, 40- i 45-stopowe. Trzy pierwsze są najpopularniejsze. Szerokość i wysokość natomiast zawsze pozostają niezmienne – to nieco mniej niż 2,5 m. Rozmiary ustalono w stopach, bo idea wyszła ze Stanów Zjednoczonych. System miar jest zresztą jedną z idei, która wciąż nie doczekała się globalnej unifikacji. Europejski system metryczny (kontynentalny) i system anglosaski nadal ścierają się o pierwszeństwo.

Wytyczne standaryzujące kontenery obejmują m.in. informacje o maksymalnej wadze towaru, jaką pudło może pomieścić, oraz kilku innych ważnych parametrach. Dzięki temu kontenery można na przykład piętrzyć, stawiając je jeden na drugim. Da się też umieszczać w nich ładunki – wewnątrz każdego z tych blaszanych klocków znajdują się jednakowe mocowania. Uniwersalne uchwyty zastosowano również na zewnątrz, tak by pudła łatwo było chwytać i przenosić za pomocą różnych urządzeń.

Może to brzmieć mało porywająco, ale spójrzmy na efekty. Kontenery otaczają nas dzisiaj ze wszystkich stron. Znajdziemy je na statkach, TIR-ach i pociągach towarowych. Stoją na budowach, robi się z nich nawet domy i wystawy. Służą do transportu, stały się niezastąpione w handlu – dla międzynarodowych relacji gospodarczych są tym, czym dla krwiobiegu hemoglobina przenosząca tlen. Kontenery pozwalają przewozić miliardy ton wszystkiego i wszędzie. Podróżują nimi samochody, komputery, ubrania, meble... długo by można jeszcze wymieniać.

Zwykle nie zdajemy sobie sprawy ze skali kontenerowego przedsięwzięcia. Ogromny, specjalistyczny statek, tzw. kontenerowiec, może jednorazowo zabrać na swój pokład kilkanaście tysięcy tych wielkich blaszanych pudeł. To oznacza, że w ramach kursu przewiezie np. 16 tys. zamkniętych w kontenerach samochodów. Albo kilkanaście milionów telewizorów. Największe obecnie kontenerowce firmy Mærsk Line (transportowego giganta z Danii) mają po 400 m długości, co oznacza, że są prawie o 70 m dłuższe od największych lotniskowców i zabierają na pokład ponad 18 tys. TEU (czyli kontenerów 20-stopowych). Do 2015 roku rekordzistą był statek Barzan, którego szerokość (58,6 m.) nie pozwala mu jednak pokonać np. Kanału Panamskiego. Mogą tamtędy przepływać statki mierzące do 49 m szerokości, dlatego od lata planowana jest modernizacja stuletniego już kanału. Barzan przepłynie za to bez problemu Kanałem Sueskim.

***Specjalistyczny statek, tzw. kontenerowiec, może jednorazowo zabrać na pokład kilkanaście tysięcy tych wielkich blaszanych pudeł.***

Takich statków pływa dziś po morzach i oceanach sporo powyżej 2000, licząc tylko te największe, długodystansowe. Nieustannie przewożą ponad 17 mln używanych na świecie kontenerów. Blaszane pudła piętrzą się w portach morskich, do których wwożone są i wywożone przez miliony pociągów i ciężarówek, aż w końcu trafiają do swoich adresatów.

Sukces kontenerów to jednak nie tylko wymiar handlowy. Ta pozornie prosta skrzynia wyznaczyła bowiem wymiary całego naszego świata. Rzadko zwraca się uwagę na fakt, że normując wymiary kontenerów, ludzie z komisji ISO de facto zdecydowali, jaka będzie wspólna dla całego świata szerokość dróg (stąd szerokość pasa drogowego najważniejszych dróg, tj. wojewódzkich i krajowych, to dziś minimum 5 m), rozmiary wagonów, statków i samochodów. W ten sposób ustalono też zalecane parametry dotyczące mostów (wdrażane latami – dziś nie ma już prawie mostów o nośności niższej niż 15 ton), nośności jezdni (najważniejsze drogi są od lat 70. XX w. budowane w standardzie 11,5 kN nacisku na jedną oś), śluz w zaporach i stopniach wodnych, magazynów i ich bram. Rozmiary mniejszych pakowanych do kontenerów paczek czy europalet (system europalet to jeden z najgenialniejszych przykładów na sensowność gospodarki okrężnej). Tak właśnie kontenery stworzyły światowy krwiobieg transportowy. System wdrażała wspomniana komisja ISO, czyli Międzynarodowa Organizacja Normalizacyjna, założona w 1946 roku w Londynie właśnie w celu unifikacji standardów – od tych inżynieryjnych po legislacyjne.

***Kontenery wyznaczyły standardy całego naszego świata. Ludzie z komisji ISO zdecydowali przy okazji, jakie będą: szerokość dróg, rozmiary wagonów, samochodów, parametry mostów, nośność jezdni, wymiary śluz i kanałów, magazynów i ich bram.***

Istnienie kontenerów skróciło też czas potrzebny na przetransportowanie towarów, pozwalając na ograniczanie liczby załadunków i rozładunków w stacjach pośrednich. Zamiast przepakowywać kilkanaście milionów telewizorów, dźwig przeładowuje kilkanaście tysięcy kontenerów. Za czasów naszych dziadków przewiezienie towaru na drugą część globu było wielką, egzotyczną przygodą, rzadkim zjawiskiem ograniczającym gospodarki do ich własnych regionów.

Kiedy mijamy jakiś sklep lub centrum logistyczne, zerknijmy na „otwór", do którego podjeżdżają TIR-y z przyczepami. To nasze faktyczne, handlowe i towarowe, okno na świat. Dzięki kontenerom miliardy ludzi na całym globie mają pracę, towary tanieją i stają się łatwiej dostępne.

*Mateusz Zmyślony*

fot. shutterstock

# 3 Europa już nigdy niczego nie wyrzuci

Unia Europejska ma nowy plan – zamierza wyeliminować marnowanie surowców. Dziś tracimy rocznie ok. 600 mln ton surowców zawartych w odpadach. Zmiana tego stanu to wyzwanie dla całej gospodarki unijnej, nie tylko tej zajmującej się odpadami.

fot. materiały MPO

**W krakowskiej lamusowni mieszkańcy dzielą swoje odpady na kilkanaście rodzajów, dzięki czemu gmina może skuteczniej odzyskiwać surowce.**

Jest tak: w kopalniach wydobywamy surowce, z nich powstają produkty kupowane przez konsumentów, którzy po wykorzystaniu wyrzucają je do kosza, skąd najczęściej zużyty produkt jest wywożony na wysypisko odpadów. To obraz schematyczny, ale dotyczy ogromnej części dóbr: ubrań, komputerów, butelek na napoje, samochodów czy mebli.

W ten sposób co roku marnujemy w Unii Europejskiej 600 mln ton surowców zawartych w odpadach, których nie przetwarzamy. Jedynie ok. 40 proc. śmieci (to średnia w UE) podlega jakiejś formie wtórnego wykorzystania. W krajach, gdzie poziom ten sięga 80 proc., surowce albo są wykorzystywane w nowych produktach, albo spalane lub przetwarzane w inny sposób, by uzyskać energię cieplną, elektryczną bądź biogaz. Są jednak takie państwa, jak Bułgaria albo Rumunia, gdzie poziom recyklingu nie przekracza 5 proc. W Polsce niedawno przekroczyliśmy próg 30 proc.

Ambicją krajów Unii Europejskiej jest osiągnięcie w 2030 r. odzysku surowców z odpadów na poziomie średnio 65 proc. (przy czym odzysk opakowań ma sięgać 75 proc.). Na wysypiska mamy zaś wtedy wysyłać nie więcej niż 10 proc. wyprodukowanych odpadów.

To ogromne wyzwanie, dlatego w przyszłości cykl życia produktów powinien wyglądać zupełnie inaczej, a wszystko musi się zmienić już na etapie produkcji. Po wydobyciu surowce mają trafiać do firm, które tak projektują swoje urządzenia, by istniała możliwość ich naprawy.

Dziś zminiaturyzowane urządzenia, najczęściej elektroniczne, konstruowane są jako rzeczy jednorazowego użytku. W razie awarii kupuje się po prostu nowe, bo naprawa jest albo niemożliwa, albo też jej koszt przewyższa wartość urządzenia. Tak jest choćby w przypadku słuchawek. Awaria głośnika lub złamanie kabłąka trzymającego je przy uszach oznacza konieczność kupna nowych. Od tego modelu zaczynają odchodzić pierwsi producenci, jak znana firma Pioneer, oferująca słuchawki z elementów, których wymiana jest opłacalna. Podobne kroki podejmuje też Phillips. Na razie ambicją firmy jest wypuszczenie w ciągu kilku najbliższych lat odkurzaczy, których obudowy będą w 100 proc. wymienne i naprawialne (obecnie tylko niektóre elementy można zastąpić), a co więcej – plastik ma pochodzić wyłącznie z odzysku.

Nie będzie to takie proste, bo plastik używany do produkcji obudowy odkurzacza ma inne parametry niż np. ten wykorzystywany przy wytwarzaniu długopisów czy opakowań. Komisja Europejska

***Phillips ma ambicję wypuszczenia w najbliższych latach odkurzaczy, których obudowy będą w 100 proc. wymienne i naprawialne (obecnie tylko niektóre elementy można wymienić), a plastik używany do produkcji ma pochodzić wyłącznie z odzysku.***

zapowiedziała więc wprowadzenie jednolitych w całej Unii standardów dotyczących tworzyw sztucznych, by z jednej strony ograniczyć mnogość odmian plastiku, a z drugiej ułatwić jego odzysk.

Korzyści ekonomiczne mogą być ogromne. Koszt ponownego wytworzenia telefonów komórkowych spadłby o połowę, jeśli łatwiej byłoby rozkładać je na części. Gdybyśmy zbierali 95 proc. zużytych telefonów komórkowych, mogłoby to przynieść oszczędności w kosztach materiałów wysokości ponad 1 mld euro rocznie (dziś zbieramy zaledwie kilka proc. tych urządzeń). Telefony komórkowe są niezłym przykładem wyzwania, przed jakim stoimy – zawierają ogromną ilość tzw. metali ziem rzadkich, szalenie kosztownych surowców wydobywanych w niewielu krajach świata (w większości na terenie Chin). Zatem powtórne wykorzystywanie metali ziem rzadkich nie tylko obniży koszty, ale też uniezależni Europę.

***Koszt ponownego wytworzenia telefonu komórkowego spadłby o połowę, gdyby łatwiej było rozkładać te urządzenia na części.***

Zmiana podejścia do surowców i projektowania produktów wywoła pozytywne konsekwencje na rynku pracy. Powrót do urządzeń naprawialnych i niezawodnych nie ograniczy bowiem liczby miejsc pracy w zakładach produkcyjnych, ponieważ liczba konsumentów będzie stale rosła. Raport brytyjskiej organizacji WRAP (Waste and Resources Action Programme) wskazuje, że wdrażanie polityki gospodarki zamkniętego obiegu tylko do 2030 r. doprowadzi do stworzenia w UE 3 mln nowych miejsc pracy. Będą to oczywiście w dużej mierze zajęcia związane ze zbieraniem i przetwarzaniem odpadów. Przede wszystkim oczekuje się jednak wzrostu zatrudnienia w warsztatach naprawczych (nawet milion nowych miejsc pracy) oraz w firmach zajmujących się wypożyczaniem i leasingiem produktów (tu może chodzić o kolejny milion etatów).

Ze względu na trwałość potrzeb związanych z naprawianiem produktów i przetwarzaniem surowców nowe miejsca pracy będą stabilne i mają szansę zredukować strukturalne bezrobocie o pół miliona osób (obecnie w UE bezrobotnych jest 10 proc., a więc ok. 25 mln, osób w wieku produkcyjnym).

W przypadku takiego kraju jak Polska kierunek rozwoju obrany przez Komisję Europejską powinien zostać przyjęty z radością. Polska nie zdążyła się bowiem pozbyć całego zaplecza miejsc pracy związanych z naprawianiem. – Kraje dawnego bloku wschodniego pod pewnymi względami będą miały łatwiej we wdrażaniu nowych celów unijnych. Kultura naprawiania i wieloletniego używania produktów jeszcze w nich nie wygasła, jak to się stało w części wysoko rozwiniętych krajów UE. Byle tylko zdążyły w odpowiednim momencie zawrócić ze ścieżki kultury konsumpcyjnej, jaką lata temu obrały kraje starej Unii – mówi Frank van Oort, profesor Erasmus Universiteit w Rotterdamie. – Oczywiście wyzwaniem będzie dla nich wdrożenie odpowiednio wydolnej gospodarki odpadami i zarządzania surowcami. Pod tym względem mają wciąż wiele do zrobienia. Wspólnota unijna powinna jednak zrobić wszystko, by ułatwić wymianę wiedzy między naszymi krajami – dodaje.

***Raport brytyjskiej agencji WRAP wskazuje, że wdrożenie gospodarki zamkniętego obiegu do 2030 r. może stworzyć nawet 3 mln. miejsc pracy.***

*pil*

Smog jest problemem wszystkich miast. W Wiedniu czy Londynie ograniczanie zanieczyszczeń to poprawa komfortu życia, ale w Pekinie i Zabrzu to walka o życie. Im mniej zrównoważony rozwój miasta – tym gorsza sytuacja.

Historia smogu to opowieść o naszej cywilizacji. Wszystko zaczęło się wraz z rewolucją przemysłową, gdy niezbędnym do napędzania dynamiki gospodarki paliwem okazał się węgiel – najpierw w formie węgla drzewnego, później w postaci rud węgla. Przemysł, rozwój i rosnąca liczba mieszkańców miast – wszystko to doprowadziło w XIX w. do niespotykanego wcześniej nagromadzenia na małym obszarze różnego rodzaju źródeł zanieczyszczeń.

***Benzo(a)piren, substancja silnie kancerogenna, obecny w organizmie sprzyja groźnym mutacjom kodu komórkowego. Najwięcej jest go tam, gdzie domy ogrzewa się węglem.***

Przyjęty w Wielkiej Brytanii w 1956 r. Clean Air Act, pierwszy pakiet przepisów dotyczących walki z zanieczyszczeniami powietrza, był efektem kilkudniowego kataklizmu smogowego. Na początku grudnia 1952 temperatura spadła drastycznie i ludzie zaczęli ogrzewać mieszkania piecami węglowymi. Na domiar złego nad Londynem zawisła wielodniowa mgła, która utrzymywała zanieczyszczenia tuż nad gruntem. Ludzie przewracali się na ulicach, nie byli w stanie oddychać. 4500 osób zmarło, głównie z powodu schorzeń układu krążenia, a 15 000 nie pojawiło się w pracy z powodu choroby. Ta katastrofa trwała od 4 do 9 grudnia, ale zgodnie z późniejszymi badaniami w następnych miesiącach, z powodu powikłań wywołanych skażeniem powietrza, zmarło ok. 7000 kolejnych mieszkańców stolicy Wielkiej Brytanii.

Kataklizm skłonił rządzących Zjednoczonym Królestwem do podjęcia radykalnych działań i wycofania pieców na węgiel oraz drewno z Londynu, a następnie z całego kraju. Z węgla dokonano wielkiej przesiadki na gaz. Podobne kroki były później podejmowane przez wiele miast i krajów. Na przełomie lat 80. i 90. XX w. jednym z ostatnich dużych miast Zachodu, które zdecydowało się na taki ruch, był Dublin, gdzie zupełnie zakazano używania węgla do ogrzewania domów. Efekt? W ciągu kilku lat o blisko połowę spadła liczba osób umierających na choroby układu krążenia.

Co zabija ludzi? Koktajl pyłów składający się m.in. z toksyn (jak benzo(a)piren) i metali ciężkich (jak kadm, ołów i rtęć), a także z tlenków azotu. Te ostatnie, których źródłem są w miastach głównie rury wydechowe samochodów, negatywnie działają na układ nerwowy. Dlatego dzieci urodzone i wychowane w pobliżu zatłoczonych samochodowych arterii częściej niż inne mają objawy padaczki czy astmy. Metale ciężkie także szkodzą układowi nerwowemu, a przy okazji zwiększają prawdopodobieństwo zapadnięcia na choroby nowotworowe.

Największym szkodnikiem są jednak pyły: PM 20, PM 10 i PM 2,5 – drobinki kilkukrotnie mniejsze od średnicy włosa. Te grubsze, wdychane do płuc, przenikają do krwiobiegu; pyły PM 2,5 mogą zaś być wchłaniane przez skórę. Grubsze pyły sprzyjają rozwojowi alergii i astmy, a na dłuższą metę mogą wywołać u ludzi choroby płuc, na jakie dawniej zapadali górnicy. Tych problemów da się uniknąć, przenosząc się do miejsca z czystym powietrzem, ale konsekwencje związane z wdychaniem benzo(a)pirenu bywają nieodwracalne.

Benzo(a)piren, substancja silnie kancerogenna, obecny w organizmie sprzyja groźnym mutacjom kodu komórkowego. Najwięcej jest go tam, gdzie domy ogrzewa się węglem. Dziś podobne problemy jak dawny Londyn czy Dublin mają miasta krajów rozwijających się: Polski, Bułgarii, Rumunii, Czech, Indii, Chin. Wątpliwą markę światowego lidera zanieczyszczeń dzierży Pekin – miasto, gdzie w chłodne dni z okien nie widać pobliskich budynków, tak bardzo zanieczyszczone jest tam powietrze.

***Co zabija ludzi? Koktajl pyłów składający się m.in. z toksyn (jak benzo(a)piren) i metali ciężkich (jak kadm, ołów i rtęć), a także z tlenków azotu.***

Jak wszędzie, gdzie zanieczyszczenie sięga katastrofalnych stężeń, winne są domowe piecyki węglowe. Niezamożni mieszkańcy Pekinu ogrzewają tanim i powszechnie dostępnym węglem. Piece węglowe są największym problemem w krajach rozwijających się w sposób niezrównoważony. Co to oznacza? Rozwój sieci transportowych dotyczy tam wybranej dziedziny, najczęściej dróg. Koleje idą w odstawkę, a w konsekwencji przez miasta przebijają się setki tysięcy aut (do Warszawy wjeżdża codziennie 600 tys. samochodów). W nierównomiernie rozwijających się miastach stawia się na rozwój przedsiębiorstw, zapominając o dobrym planowaniu przestrzeni. Liczą się kolejne miejsca pracy i podatki, ale już nie dobre planowanie osiedli dla nowych pracowników. W efekcie tworzy się osiedla bez parków, szkół i sklepów – do najbliższych dojechać można wyłącznie samochodem. Ponieważ społeczeństwa takich krajów nie są zamożne, politycy nie stawiają im wysokich wymagań dotyczących budowy domów. Powstają budynki najtańsze w realizacji, za to bardzo kosztowne dla środowiska i społeczeństwa – ogrzewane tanim wciąż węglem i trujące całą okolicę. Koszty takiego nierównego rozwoju są ogromne.

***Według danych WHO w Polsce z powodu zanieczyszczeń powietrza rocznie umiera przedwcześnie ok. 45 tys. ludzi. To więcej niż liczba ofiar wypadków samochodowych.***

Według danych WHO w Polsce z powodu zanieczyszczeń powietrza rocznie umiera przedwcześnie ok. 45 tys. ludzi. To więcej niż liczba ofiar wypadków samochodowych, a przecież pod tym względem Polska jest jednym z niechlubnych liderów Unii Europejskiej. Wynikające z zanieczyszczenia powietrza koszty leczenia, nieobecności w pracy i prywatne wydatki Polaków na leki sięgają 26 mld zł rocznie – wynika z najświeższego raportu Komisji Europejskiej. W skali świata problem jest równie gigantyczny. Zdaniem WHO zły stan powietrza powoduje co roku zgon 12,6 mln ludzi.

Zarówno Paryż, jak Zabrze mają problemy z utrzymaniem jakości powietrza. Jednak w stolicy Francji za katastrofalną uznaje się sytuację, gdy stężenie pyłów PM10 przekracza 80 mikrogramów na m sześc., gdy dopuszczalna maksymalna dawka dzienna to 50 mikrogramów. W Polsce zimą nikogo nie zaskakuje stężenie rzędu 200, 300, 400 czy nawet 800 mikrogramów. We Francji zmagają się bowiem z zanieczyszczeniami wywołanymi przez samochody, w Polsce jesteśmy na etapie Londynu lat 50. XX w.

Nie da się ukryć, że Kraków, Delhi czy Pekin działają z ogromną motywacją, by doprowadzić jakość powietrza do dopuszczalnego stanu. Stolica Małopolski zakazała ogrzewania domów węglem i drewnem od 2019 r. Żadne miasto w Polsce nie ma tak wielkich doświadczeń i takiego *know-how* jak Kraków. Ruchy społeczne naciskają na władze, a te wydają dziesiątki milionów złotych na likwidację blisko 30 tys. pieców rozsianych po całym mieście. W Krakowie wiedza społeczna o zagrożeniach płynących z zanieczyszczeń powietrza jest już dość duża, ale reszta Polski, w tym rządzący, wciąż pozostaje nieświadoma lub głucha na problem.

*pil*

## SKŁAD SMOGU NAD WARSZAWĄ

*(DANE UŚREDNIONE Z LISTOPADA 2016 R.)*

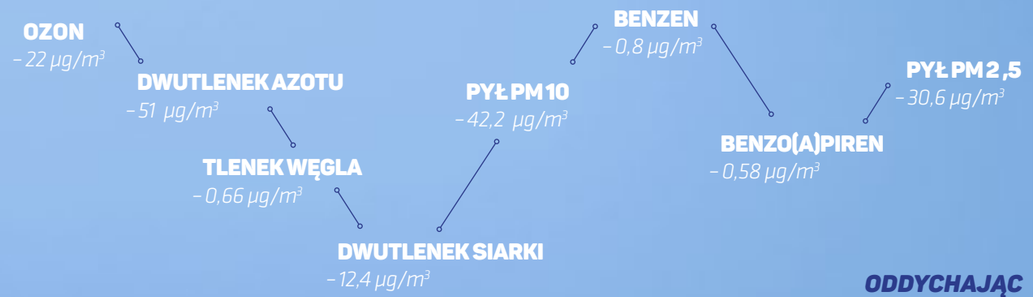


***ODDYCHAJĄC WARSZAWSKIM POWIETRZEM, CODZIENNIE WDYCHASZ TRUCIZNY ODPOWIADAJĄCE 4 WYPALONYM PAPIEROSOM***

**4**

# Smog nasz powszedni,
## dziedzictwo rewolucji przemysłowej



fot. shutterstock

# 5

# Na paliwie **z niedojedzonego kotleta** do pracy

***W Europie wyrzucamy 280 mln ton żywności rocznie. 180 marnuje się w restauracjach i sklepach (chodzi o niesprzedane przeterminowane artykuły).***

fot. shutterstock

Taksówki w Västerås, autobusy w Sztokholmie, śmieciarki pod Amsterdamem, kuchnie w Rotterdamie – wszystkie korzystają z resztek obiadów. Zamiast gnić na wysypiskach, jedzenie zamienia się w biogaz.

Ludzkość marnuje co roku ok. 1,3 mld ton żywności – podaje FAO (agenda ONZ ds. rolnictwa i żywności). Kraje Unii Europejskiej i Stany Zjednoczone są pod tym względem liderami. Najwięcej żywności wyrzucają sklepy oraz gastronomia. Zahamowanie tego zjawiska to dziś jedno z największych wyzwań cywilizacyjnych, ponieważ marnujemy więcej, niż potrzebują ludzie z obszarów objętych katastrofą głodu.

Nie wszystką żywność uda się jednak ocalić, czasem do kosza wrzucamy po prostu resztki spożywcze – pozostałości z obiadu, ogryzek jabłka, skórkę po bananie, obierki z marchewki, skrawki mięsa. I znów najwięcej tego rodzaju odpadów w miastach pochodzi z restauracji, którym o wiele trudniej zaplanować liczbę posiłków niż ludziom gotującym w domach dla siebie i rodziny. Na 280 mln ton żywności w Europie prawie 180 marnuje się w restauracjach i sklepach (chodzi o niesprzedane przeterminowane artykuły).

To jedzenie nie musi być wywożone na wysypisko – można z niego wyprodukować gaz, np. dla restauracji, która regularnie pozbywa się dziesiątek kilogramów produktów spożywczych. To korzyść dla środowiska, dla władz miasta, finansowy pożytek dla mieszkańców i dowód na to, że umiemy nie tylko konsumować, ale też wykorzystać każdy surowiec i zawartą w nim energię.

***Są miejsca, gdzie gnijące odpady potraktowano jak źródło paliwa. Masowo robią tak choćby Holendrzy czy Szwedzi.***

Zacznijmy od korzyści dla środowiska. Rozkładające się odpadki organiczne (liście, skoszona trawa, resztki obiadów itp.) wydzielają metan. W powszechnej świadomości za globalne ocieplenie odpowiedzialny jest przede wszystkim dwutlenek węgla – to prawda, jeśli wziąć pod uwagę, jak wiele go emitujemy. Jednak metan jest o wiele groźniejszy. Tona metanu wyemitowanego do atmosfery sprzyja efektowi cieplarnianemu dziesięciokrotnie bardziej niż taka sama ilość $CO_2$. To dlatego Jeremy Clarkson prowadzący słynny program o motoryzacji mógł sobie pozwolić na żart, że krowa puszczająca bąki (jest w nich bardzo dużo metanu, tak jak w jej rozkładających się na łące odchodach) szkodzi środowisku bardziej niż samochód sportowy, który emituje głównie dwutlenek węgla.

Zatem im mniej jedzenia czy odpadów z naszych ogrodów wyrzucimy na wysypisko, tym lepiej dla naszego świata. Już teraz większość krajów Unii Europejskiej stara się ograniczać emisję metanu: kompostujemy takie odpady lub odsysamy wydzielający się ze składowisk metan. To jednak marnowanie energii, bo metan ten jest po prostu spalany, a powstałej przy tym energii w żaden sposób się nie wykorzystuje.

Są jednak miejsca, gdzie gnijące śmieci potraktowano jako źródło paliwa. Masowo robią tak choćby Szwedzi czy Holendrzy. W obydwu tych krajach dla mieszkańców, przedsiębiorców i rolników jest oczywiste, że nie mogą po prostu wyrzucić resztek organicznych. Zbiera się je jako osobną frakcję i zawozi do biogazowni. Tam gnicie odbywa się w gigantycznych termosach. Uzyskane w ten sposób ciepło (gnijące odpadki produkują ciepło) kierowane jest najczęściej do pobliskich szklarni – jak przy zakładzie firmy Meerlanden w Holandii. Szklarnie zyskują korzystne źródło ciepła, a zwiększona ilość dwutlenku węgla w nadmuchiwanym do szklarni powietrzu przyspiesza w dodatku dojrzewanie warzyw i owoców tam uprawianych. To jednak efekt uboczny.

Prawdziwym produktem biogazowni (w Holandii do odpadów spożywczych dorzuca się także odchody krów) jest właśnie metan. Część wyprodukowanego w ten sposób gazu zasila silniki śmieciarek firmy Meerlanden, która oszczędza na kosztach paliwa. W Polsce wiele osób wyposaża prywatne auta w instalacje gazowe, ale gaz, który tankują, pochodzi głównie z pól gazowych Rosji. W Holandii ogromne ilości biogazu, równe niemal 8 proc. całego zużycia gazu w kraju, wtłacza się do ogólnokrajowego systemu gazowego.

W kuchniach Rotterdamu czy Hagi obiady gotuje się więc na gazie powstałym z resztek obiadów ugotowanych wcześniej. Dzieje się to w kraju, z którego pochodzi jeden z największych na świecie dostawców ropy i gazu – Shell.

W Szwecji biogaz wykorzystywany jest głównie do zasilania transportu, ponieważ kraj ten nie ma tak rozbudowanej sieci gazowej jak mała i gęsto zabudowana Holandia. W efekcie skala produkcji paliwa jest niewyobrażalna. W Sztokholmie ok. 30 proc. autobusów miejskich zasilanych jest biogazem. W nieodległym Västerås na biogazie jeżdżą wszystkie miejskie taksówki. To nie tylko sposób odzyskiwania energii z odpadów, ale też metoda ograniczania zanieczyszczeń powietrza – spaliny z gazu są mniej szkodliwe niż spaliny z benzyny lub oleju napędowego.

***Produktem biogazowni jest metan. Część uzyskanego z odpadów gazu zasila np. śmieciarki, które zwożą odpady do biogazowni.***

Co mają z tego mieszkańcy? Gwarancję, że ich rachunki za zagospodarowanie odpadów nie będą szły w górę każdego roku. Pozbywanie się odpadów to zawsze koszty, a wykorzystywanie energii w nich zawartej pokrywa ich część. Dla gmin taka metoda utylizacji bioodpadków to z kolei pozbycie się olbrzymiego kłopotu poszukiwania nowych miejsc na wysypiska. Te, które już działają, będą mogły służyć jeszcze długo, bo w Szwecji składuje się maksymalnie 2 proc. powstających co roku odpadów. Łatwiej dziś bowiem znaleźć obywatela, który zamieszka w pobliżu biogazowni, niż wybierze lokum obok wielkiego śmietniska.

Tym tropem idą również inne kraje z silnie rozwiniętym rolnictwem. Wielka Brytania chce do 2021 roku zwiększyć produkcję biogazu czterokrotnie. W Niemczech w biogazowniach rolniczych produkuje się prąd dla 7 mln gospodarstw domowych. W Polsce na tę formę produkcji energii coraz chętniej patrzą też rolnicy, którym inwestycje w biogazownie powinny ułatwić przyjęte w 2016 r. przez Ministerstwo Energii przepisy.

*pil*

fot. shutterstock

# 6 Lokalne jedzenie, lokalne zyski, lokalne szczęście

**Jesienią 2015 r. prezydent Słupska Robert Biedroń zarządził, by do stołówek w szkołach tego miasta wprowadzić wyłącznie jedzenie z nieodległych gospodarstw. Na start ustalono, że stołówki będą zaopatrywane tylko w okoliczne sezonowe warzywa.**

U źródeł tego pomysłu leży przede wszystkim chęć dostarczenia dzieciom jedzenia pełnowartościowego, zdrowego i pochodzącego z gospodarstw jak najmniej zmechanizowanych, a więc z ograniczoną do minimum ilością chemikaliów stosowanych przy uprawie. Nie od dziś wiadomo, że spożywanie jedzenia wysoko przetworzonego nie sprzyja funkcjonowaniu ludzkiego organizmu.

Zastąpienie przemysłowo wytwarzanych paluszków rybnych najtańszą nawet rybą mrożoną, a purée w proszku zwykłymi ziemniakami znacząco podnosi jakość jedzenia i poziom odżywienia. To ostatnie słowo bardzo często jest rozumiane mylnie. Dobrze odżywiony człowiek nie oznacza osoby z pełnym brzuchem, ale taką, która razem z jedzeniem przyjmuje wszystkie odpowiednie substancje potrzebne do prawidłowego rozwoju, a później funkcjonowania organizmu. Obiad składający się z parówek, purée w proszku oraz mrożonej marchewki wygotowanej ze smaku i witamin zapełni wprawdzie brzuch, nie będzie jednak wystarczająco odżywczy. To ważne szczególnie w przypadku dzieci, które z roku na rok nabierają w polskich w domach coraz gorszych nawyków żywieniowych. Dane statystyczne pokazują, że w ciągu ostatnich 25 lat niemal podwoiła się w naszym kraju liczba osób z nadwagą. Dlatego w 2015 r. wprowadzono w polskich szkołach rygor dietetyczny – kompoty nie są już nadmiernie dosładzane, a wszystkie dania mają zawierać odpowiednio zbilansowany zestaw składników.

> ***Zdrowie ludzi to tylko jedna korzyść wynikająca z kupowania lokalnie wyprodukowanego jedzenia, drugą olbrzymią zaletą są niskie koszty transportu i ograniczenie łańcucha pośredników.***

Dzięki temu żywność ekologiczna lub przygotowywana tradycyjnie, droższa w produkcji niż żywność przemysłowa, może mieć niższą cenę, a sama uprawa tradycyjna staje się bardziej opłacalna.

> ***W ogarniętej kryzysem Grecji warunki ekonomiczne w sposób naturalny wymusiły na rolnikach przejście na własne kanały zbytu, co doprowadziło do obniżenia cen surowych produktów rolnych nawet o 60 proc. w porównaniu z uprzednimi cenami w sieciach handlowych.***

Także w polskich miastach obecność i popularność placów ze straganami, gdzie sprzedaje się lokalną żywność, staje się coraz większa, a jedzenie „od lokalnego rolnika" jest dla wielu mieszkańców miasta synonimem lepszej jakości życia. Lokalnie produkowana żywność to wciąż stosunkowo niewielka część rynku, ale proporcje szybko się tu zmieniają. Trudno oszacować, jaka masa żywności sprzedawania jest na miejscowych targach, pewną wskazówką dotyczącą zachowań konsumentów może być jednak udział żywności ekologicznej w rynku ogólnopolskim. Wprawdzie w krajach Europy Zachodniej żywność organiczna i ekologiczna to nawet 7 proc. (jak we Francji czy Włoszech), a w Polsce – nadal tylko 0,4 proc. wartości sprzedaży żywności w ogóle, ale dynamika zachodzących w tej materii zmian jest ogromna. W 2015 r. Polacy wydali na żywność ekologiczną ponad 700 mln zł.

W sprzedaży żywności na rynku lokalnym, czyli niedaleko od miejsca jej produkcji, nie chodzi jednak wyłącznie o wielkość zysków. Niezwykle istotna jest również ich stabilność. Rolnictwo to jeden z najbardziej ryzykownych rynków – płody ziemi są silnie narażone na kataklizmy przyrodnicze, które wielokrotnie niszczą uprawy w całych regionach, a nawet znacznie obniżają ich wielkość na obszarze całych krajów. Paradoksalnie problemem dla gospodarki rolnej może być również nadmierny urodzaj, ponieważ prowadzi on do gwałtownych redukcji cen, a w związku z tym do obniżenia opłacalności produkcji.

Umowy ze szkolnymi stołówkami czy gwarantowane miejsca na lokalnych targach żywności i stałe grupy odbiorców to jedne z najważniejszych sposobów podniesienia opłacalności lokalnej produkcji. Stąd dużą rolę we wzmacnianiu rynku lokalnej żywności pełnią metropolie i samorządy regionalne. Chodzi nie tylko o rynek żywności w obiektach zarządzanych przez instytucje (szkoły, szpitale itp.), ale także o stworzenie mechanizmów wspierających miejscowych rolników, hodowców i przetwórców. Na placach handlowych należących do gminy mieszkający w niej rolnik może handlować po uiszczeniu symbolicznej opłaty za miejsce – tak jest choćby w bardzo wielu regionach Francji, która jest europejskim liderem zinstytucjonalizowanego wspierania krótkiego łańcucha dostaw. Gmina może również wspierać lokalnych rolników w zakupie gruntów uprawnych, zobowiązując ich następnie do sprzedaży odpowiedniej części wyprodukowanych plonów na terenie rodzimego miasta. Tego rodzaju przykłady można mnożyć, wszystkie wymagają współpracy samorządu z przedsiębiorcami.

> ***Za pozytywny casus może posłużyć wprowadzone na terenie Małopolski oznaczenie „Produkt lokalny z Małopolski".***

Na tę metodę promocji żywności produkowanej lokalnie przeznaczono spore środki publiczne, jednak umożliwiło to pojawienie się regionalnych producentów wędlin i serów w miejscowych sieciach handlowych i większych sklepach, a to z kolei pociągnęło za sobą rozwój niektórych przedsiębiorstw.

Co ważne, takie zabiegi od wielu lat wspierane są przez Komisję Europejską i Parlament Europejski. Dyrektywa mówiąca o zrównoważonym rolnictwie została uzupełniona m.in. o zalecenia dotyczące krótkich łańcuchów dostaw. Z jednej strony jako metoda na wzmocnienie lokalnego rynku pracy, z drugiej – sposób na ochronę dziedzictwa kulturowego. Kontynuacja tradycyjnego wytwarzania wędlin i serów, rozdrobnienie własności gruntów, a co za tym idzie zachowanie specyficznego krajobrazu – to wszystko wartości, które zdaniem urzędników i polityków z Brukseli warto chronić.

*pil*

**Targ pietruszkowy z produktami od lokalnych rolników – początkowo tymczasowe przedsięwzięcie, a dziś jeden z symboli dzielnicy Podgórze**

fot. Jakub Ociepa / Agencja Gazeta

fot. shutterstock

Drugie życie budynków często bywa bardziej interesujące niż ich oryginalne przeznaczenie. Pomysłodawców nadających nowe funkcje budowlom spisanym na straty nie brakuje – nawet gdy z góry wiadomo, że kiedyś teren może stać się miejscem jakiejś inwestycji.

fot. Paweł Piotrowski / AG

**Nieczynny hotel Forum stał się jednym z najpopularniejszych miejsc Krakowa**

# 7 Upcykling miejsc,

## czyli drugie życie porzuconych budynków

Wokół drzew przy ul. Augustiańskiej w Krakowie zbudowane zostały ławki ze starych palet. Od ponad dwóch lat w każdy cieplejszy dzień okupują je ludzie odwiedzający okoliczne lokale. To typowy upcykling. W tym przypadku: niewymagające specjalnych nakładów finansowych przypisanie zużytym paletom zupełnie innego niż ich poprzednie przeznaczenie.

Przykładów tak rozumianego powtórnego wykorzystania przedmiotów, które nie nadają się do wypełniania swej pierwotnej funkcji, można znaleźć sporo. Wiele osób zapewne pamięta opony przecinane na pół i wkopywane w ziemię, a potem bielone i służące za płoty. Kwestie estetyki zostawmy na boku. To była forma upcyklingu. Kompostownik z palet? Dlaczego nie. Albo psia buda z obudowy pralki, torba na zakupy z nieaktualnych bannerów czy kubek na ołówki i długopisy z atrakcyjnej dla nas puszki. To najprostsze formy. Za upcykling zabierają się również dizajnerzy – wtedy zwykle powstają bardziej złożone projekty, jak żyrandol z miedzianego węża albo ściana wygłuszająca pomieszczenie do słuchania muzyki z siedzisk i oparć foteli biurowych.

Upcykling dotyczy głównie rzeczy codziennego użytku, ale mało kto dostrzega, że od bardzo dawna zjawisko to rozlewa się również na nieruchomości. Popularność takich miejsc poddanych upcyklingowi zależy niemal wyłącznie od inwencji ich twórców.

W Amsterdamie w obrębie jednego z nieczynnych nabrzeży portowych powstała strefa usługowo-biurowa De Ceuvel. Opuszczone miejsce zostało zagospodarowane przez fundację, która oprócz prowadzenia restauracji i klubokawiarni (ulokowanych w kontenerach i warsztatach portowych) zajmuje się również organizacją koncertów i innych wydarzeń kulturalnych. Przyciągnięto tam także różne nieużywane łajby. Minimalizując koszty inwestycji, zbudowano wokół nich podest z desek, tak by do każdej dało się dojść ponad bagnistym i brudnym terenem zarośniętym trzcinami. Łodzie i barki są dziś biurami rozchwytywanymi przez młode firmy z przeróżnych branż, potrzebujące dostępu do internetu i przestrzeni spotkań. De Ceuvel osiągnęło tak spektakularny sukces, że w ciągu najbliższych lat na okolicznych kanałach powstanie osiedle pływających domów (w Holandii to nie tylko moda, ale i konieczność ekonomiczna).

***De Ceuvel znajduje się na obszarze tzw.* brown field*, czyli na terenie z zanieczyszczonym gruntem. Gmina oddała teren – za minimalne opłaty – fundacji. Z okien pobliskiego osiedla nie widać już gnijących traw i rdzewiejących barek, ale tętniący życiem kwartał.***

Czemu nikt inny nie zainwestował w standardowe wykorzystanie działek? De Ceuvel znajduje się na obszarze tzw. *brown field*, czyli terenie z zanieczyszczonym gruntem. Jeszcze przez kilkanaście lat nie będzie można na nim rozwijać budownictwa tradycyjnego. Dlatego gmina za minimalne opłaty oddała te ziemie w użytkowanie fundacji, dla której możliwość funkcjonowania przez kilkanaście lat na takim obszarze jest perspektywą zupełnie wystarczającą. Z okien pobliskiego osiedla rozpościera się już zatem nie widok na gnijące trawy i rdzewiejące barki, ale na tętniącą życiem dzielnicę.

W Rotterdamie funkcjonuje z kolei jeszcze popularniejsze wśród mieszkańców Blue City. To dawny basen miejski, zagospodarowany nie z inicjatywy gminy, ale na dziko, co dopiero po pewnym czasie zyskało akceptację władz miasta. – Kiedy kawiarnia już funkcjonowała i okazało się, że okoliczni mieszkańcy są z tego zadowoleni, miasto postanowiło zalegalizować naszą obecność. Wcześniej przyglądało się z życzliwością – wyjaśnia właściciel kawiarni działającej w miejscu dawnych basenów z ciepłą wodą. Nie jest ona jedyną firmą działającą w Blue City. W podziemiach nieruchomości funkcjonuje uprawa grzybów jadalnych, które rosną na fusach z kawy zbieranych w kawiarniach całego miasta. W hali, gdzie dawniej znajdowały się główne baseny, dziś uprawia się rośliny wykorzystywane m.in. przez kawiarnię z Blue City, która serwuje lekkie wegetariańskie jedzenie. W innej piwnicy dwóch młodych ludzi zajmuje się produkcją sztucznej skóry z odpadów, a precyzyjnie: z włóknistych owoców. Fruitleather to start-up, który nie miałby szans na zaistnienie, gdyby nie pomieszczenia Blue City. „Skóra" została już doceniona na różnych wystawach dizajnu, a pomysłodawcy starają się teraz uzyskać maksymalnie powtarzalny efekt, by móc wdrożyć ją do produkcji i sprzedaży. W Blue City jest jeszcze stolarz, który prowadzi upcykling niepotrzebnych materiałów, tworząc przedmioty codziennego użytku, a także minicentrum konferencyjne. W dolnej części budynku rozpoczęła się przebudowa dawnych przebieralni pod wynajem pomieszczeń biurowych. Wszystko to stało się możliwe, kiedy znalazł się zainteresowany wsparciem ulokowanych w dawnym kompleksie basenowym firm inwestor.

Takie cuda tylko za granicą? Nic podobnego. W Krakowie przez kilka lat na poprzemysłowym Zabłociu, w pomieszczeniach dawnej fabryki Miraculum, funkcjonował klub Fabryka – przestrzeń koncertów, wystaw i dyskusji. Od dwóch lat już go nie ma. Pojawił się inwestor, fabryka została zburzona, a na jej miejscu wyrosło osiedle mieszkaniowe.

***Podobna historia stoi za zamkniętym na przełomie XX i XXI w. krakowskim hotelem Forum. Naprzeciw Wawelu rozgościł się najpierw klub, a później sklepy z modą lokalnych artystów, fryzjer i warsztat rowerowy.***

Podobna historia stoi za zamkniętym na przełomie XX i XXI wieku krakowskim hotelem Forum. Naprzeciw Wawelu rozgościł się najpierw klub Forum Przestrzenie, a później sklepiki z modą lokalnych artystów i fryzjer. Za nimi poszły koncerty, festiwale, kiermasze. Jeszcze niedawno pogrążający się w ruinie budynek dawnego Forum dziś jest jednym z najbardziej dynamicznie działających i najchętniej odwiedzanych miejsc Krakowa.

Tego rodzaju przykłady znajdą się prawdopodobnie w każdym mieście. Są one dowodami na to, że zarówno samorząd, jak i przedsiębiorcy powinni mieć zaufanie do lokalnych aktywistów – bardzo często w opuszczonych budynkach powstaje dzięki nim coś, co nie tylko szybko staje się wizytówką miasta, ale i zachętą dla późniejszych inwestorów.

*pil*

fot. Bartosz Pilat

fot. shutterstock

**Auta zajmują dużo powierzchni na ulicy, albo kosztowne miejsca parkingowe w budynkach. Stoją nieużywane nawet przez 98 proc. czasu. Car-sharing gwarantuje, że samochód rzadziej będzie zajmował miejsce parkingowe.**

fot. Traficar

# 8 Miejski samochód, czyli wolność od parkowania

Miejskie wypożyczalnie samochodów to pomysł na zmniejszenie liczby aut parkujących na ulicach. Miały też redukować korki, ale na razie zmniejszają liczbę pasażerów komunikacji miejskiej. Zarządzanie miejskim transportem jest trudne.

Miasto za miastem otwiera swoją wypożyczalnię aut. W Polsce wciąż dominuje system całkowicie prywatny – inaczej niż w wielkich miastach starej Europy. Tam władze gmin często dotowały takie pomysły, żeby zachęcić przedsiębiorców do uruchomienia car-sharingu, a mieszkańców do korzystania z ich usług.

**Car-sharing polega na dzieleniu się samochodem, co może oznaczać grupowy zakup lub – o wiele częściej – rodzaj uproszczonego systemu wynajmu aut.**

Car-sharing polega na dzieleniu się samochodem. Może oznaczać grupowy zakup samochodu, z którego potem korzysta wiele osób. Odmiana car-sharingu zyskująca największą popularność to rodzaj uproszczonego wynajmu samochodu – na godzinę, na kilkanaście minut. W sam raz tyle, by przejechać z zakupami z hipermarketu albo z nietypowymi odpadami do punktu ich odbioru. Trochę jak taksówka, ale bez konieczności opłacania pracy kierowcy.

Od klasycznej wypożyczalni samochodów miejskie wypożyczalnie różnią się prostotą obsługi i minimalną ilością formalności do załatwienia. Najczęściej trzeba tylko zarejestrować numer karty, z której będą pobierane opłaty, i zadeklarować posiadanie prawa jazdy. W Polsce obsługa wypożyczenia odbywa się najczęściej poprzez aplikację służącą do otwierania auta i rejestracji kosztów (zależnych od czasu lub długości trasy). Kto potrzebuje samochodu, za pomocą smartfona sprawdza, gdzie znajduje się najbliższy, i może go zarezerwować. Korzystając z miejskiej, a nie z typowo komercyjnej wypożyczalni, kierowca nie płaci za paliwo ani za parkowanie na ulicy.

W ubiegłym roku usługa car-sharingu pojawiła się we Wrocławiu, gdzie firma GoGet.pl wynajmuje auta spalinowe Forda, Kii oraz Hyundaia, a także elektryczne marki BMW. W Warszawie działa 4mobility.pl oferujące wypożyczenie bmw i mini, a w Krakowie Traficar wynajmujący kilkadziesiąt małych opli, do których wkrótce dołączą dziesiątki innych samochodów. Car-sharing cieszy się już na tyle dużą popularnością, że krakowska firma zdecydowała się w ciągu kilku miesięcy dokupić 1000 nowych samochodów Renault i planuje ekspansję do innych miast.

Rozpowszechnianie się car-sharingu powinno cieszyć władze miejskie. Idea zrodziła się, ponieważ w miastach, zwłaszcza w historycznych, gęsto zabudowanych centrach, samochody stanowią dziś niemały kłopot. Zajmują dużo powierzchni na ulicy albo kosztowne miejsca parkingowe w budynkach. Co gorsza, prywatne auta zwykle przez 92 do 98 proc. czasu stoją nieużywane. Car-sharing gwarantuje zaś, że samochód będzie użytkowany kilka, a nawet kilkanaście razy w ciągu dnia, co oznacza, że rzadziej zajmie cenne miejsce parkingowe.

Miastem prekursorem tego typu rozwiązania był Paryż. Wszystko zaczęło się przy okazji strajków pracowników komunikacji miejskiej na początku XXI w. Do mieszkańców stolicy Francji dotarło wtedy, że alternatywą mogą być rowery. Władze miejskie szybko oplotły miasto ścieżkami rowerowymi, a następnie uruchomiły system wypożyczalni rowerów – dziś rowery są w Paryżu wszędzie, gdzie trzeba. W centrum miasta znajduje się obecnie ponad 2500 stacji rowerowych firmy JCDecaux.

Choć panaceum na okresy przestoju w komunikacji miejskiej miały być rowery, szybko pojawiła się także podobna oferta dotycząca aut. W 2011 r. pod nazwą AutoLib' ruszyła sieć wypożyczalni samochodów elektrycznych. Dysponuje ona ponad 4 tysiącami samochodów oraz tysiącem stacji do parkowania i ładowania pojazdów. Ponieważ dokonuje się wcześniejszej rezerwacji, nie trzeba borykać się z odwiecznym problemem kierowców w centrum miast – szukaniem miejsca parkingowego. Stacje dokujące AutoLib spowodowały jednocześnie zmniejszenie powierzchni parkowania dla aut prywatnych.

Firma prowadząca wypożyczalnie nadal nie zarabia. Tak przynajmniej twierdzą jej właściciele. Każdy ze 130 tys. abonentów korzystających z systemu uiszcza opłatę 10 euro miesięcznie; godzina jazdy kosztuje 14, pół godziny – 7 euro itd. Samochód można też wypożyczyć okazjonalnie, ale w cenie 19 euro za godzinę. Ze względu na spadającą dostępność aut system staje się jednak coraz mniej wydolny. Abonentów przybywa dużo szybciej niż samochodów i stacji. W ciągu 5 lat dwukrotnie spadła częstotliwość wypożyczeń przez jednego użytkownika. Coraz trudniej znaleźć też auto we własnej okolicy.

fot. Traficar

Jak rozwiązać ten kłopot? Zwiększyć liczbę samochodów i podnieść ceny? Być może, ale nikt nie jest w stanie podać dziś poziomu pożądanego nasycenia miasta autami. Sprowadzając sprawę do absurdu, można by zasugerować, że kiedy jeden samochód będzie przypadał na 3 abonentów (obecnie przypada na ponad 20), system z pewnością będzie wystarczająco popularny. Jednak to ślepa uliczka: właśnie taki stosunek liczby samochodów prywatnych do liczby mieszkańców ma Paryż.

**Zarządzający systemami komunikacji zbiorowej mają problem. Z obserwacji Paryża wynika, że wypożyczalnia aut wyciągnęła z autobusów, tramwajów i metra zamożniejszych pasażerów. Podobne doświadczenia ma Wiedeń.**

Zarządzający systemami komunikacji miejskiej mają dziś kłopot, bo uzupełnianie miasta o nowe sposoby komunikacji nie przynosi łatwych sukcesów. Z obserwacji Paryża wynika, że AutoLib' prawdopodobnie odebrał zamożniejszych pasażerów komunikacji zbiorowej, ponieważ od momentu startu systemu ruch na ulicach miasta nie zmalał. Podobne spostrzeżenia miały władze Wiednia, które w ciągu 15 lat obniżyły liczbę przejazdów samochodami po mieście o blisko 30 proc. Za tym sukcesem stały jednak ogromne wydatki na klasyczną komunikację zbiorową, a nie na rowery czy stacje wypożyczania aut. Jak wynikało z prostych danych, użytkownikami miejskich rowerów były w Wiedniu przede wszystkim osoby korzystające też z tramwajów, pociągów miejskich i autobusów.

*pil*

# ŻYJ ŻYCIEM
# OPEN EYES ECONOMY

**Zakupy?** W okolicznych sklepach i na placach – tam jest wszystko, a w dodatku sklepowa, która odbiera przesyłki kurierskie.

**Niebieskie okulary?** To nie wada wzroku. To **Open Eyes Economy.**

**Por.** Wyrósł 20 km od straganu, na którym został kupiony.

Zęby umyte **szczoteczką bambusową**. To modne. Tak mówią. Ekologiczne. Tak jest.

**Bidon?** Kosztował 40 zł. Dużo? Zwrócił się po kwartale. Jego zawartość kosztuje 2 gr. Leje się ją z kranu.

**Torba z porem.** Ze zużytego banneru. Po trzech latach się przetarła, przyznajemy.

**Fit?** Do pracy rowerem, pozwala na to bilet komunikacji miejskiej.

W portfelu **bilet miesięczny** komunikacji miejskiej – tak jest i taniej, i elastyczniej.

**Petycja?** Z podpisami sąsiadów za renowacją lokalnego skweru. Jej firma dokupi ławki…

**Żakiet?** Uszyła lokalna firma. W innym mieście takiego nie znajdziesz.

…bo jest **Firmą-Ideą,** z której nie ma ochoty uciekać.

**Dziecko?** Nie ma, ale nie ma problemu. W biurowcu firmowym jest przedszkole.

**Samochód** się nie opłaca. Raz na miesiąc można wypożyczyć.

Jej ulica bez aut. **Rozmawia na niej z sąsiadami.**

**Spóźniona?** W pracy rozumieją, że obowiązki społecznika mogą doprowadzić do obsuwy.

**Buty** naprawione u szewca, mają cztery lata.

**Pracuje,** żeby czuć się dobrze, żeby świat był lepszy. Prowadzi dziesięcioletni projekt w swojej firmie.

UNIWERSYTET EKONOMICZNY W KRAKOWIE

www.uek.krakow.pl

RERUM COGNOSCERE CAUSAS ET VALOREM*

*Studenci UEK już to wiedzą

Zdobądź więcej

gap.

Wydział Gospodarki i Administracji Publicznej Uniwersytet Ekonomiczny w Krakowie

www.gap.uek.krakow.pl

Strefa GAP

gapfeeler





# 9 W biznesie chodzi o rozwiązywanie problemów ludzi, nie o pieniądze

Zysk nie musi być celem biznesu, a inne spojrzenie na dochód wkrótce może się już stać koniecznością, nie fantazją. – Tak o swojej działalności myśli Miastologia.

Jaką wartość ma pieniądz? Z pozoru pytanie jest proste: wystarczy sprawdzić kursy walut i przeliczyć dolary amerykańskie na funty brytyjskie albo malezyjskie ringgity na koreańskie wony. Informacja o cenie pieniądza jest dostępna dla każdego.

Czy jednak użyteczność bochenka chleba zmieni się w związku ze zmianą kursu walut? Chleb zawsze będzie przedstawiał dla nas pewną wartość niezależną od ceny pieniądza.

Projekt Miastologia wychodzi z założenia, że pieniądze nie są sensem działalności człowieka. Istotna jest wartość, którą na te pieniądze przeliczono, oraz korzyści, na jakie tę wartość można zamienić. Istotą działania naszej cywilizacji nadal pozostaje handel wymienny – pieniądze po prostu znacznie ułatwiają ten proces. Gromadzenie pieniędzy jest więc mało sensowne, jeśli nie wie się, na co je przeznaczyć. Zatem kwestią ważniejszą niż to, „ile na tym zarobię", jest pytanie: „Co zrobię z pieniędzmi?".

Czy w takim razie zyskowność jest nieważna? Czy firmy powinny zaprzestać wszelkich kalkulacji, liczenia pieniędzy i starań o zysk? Zysk jest jak oddychanie. Człowiek nie żyje po to, aby oddychać – oddycha po to, aby żyć. Ludzie związani z Miastologią uważają, że zysk jest bardzo ważnym narzędziem osiągania celów, a umiejętność liczenia pieniędzy bywa kluczowa. Wartością, którą się kierujemy, jest jednak zasada, że „zarabia się, by działać, a nie działa, by zarabiać". Krótko mówiąc: nie staramy się rozwiązywać ważnych dla ludzi problemów po to, aby zarobić – zarabiamy pieniądze, aby rozwiązywać ważne dla ludzi problemy.

**Gromadzenie pieniędzy jest więc mało sensowne, jeśli nie wie się, na co je przeznaczyć. Zatem kwestią ważniejszą niż to, „ile na tym zarobię", jest pytanie: „Co zrobię z pieniędzmi?".**

**Nie staramy się rozwiązywać ważnych dla ludzi problemów po to, żeby zarobić – zarabiamy pieniądze, aby rozwiązywać ważne dla ludzi problemy.**

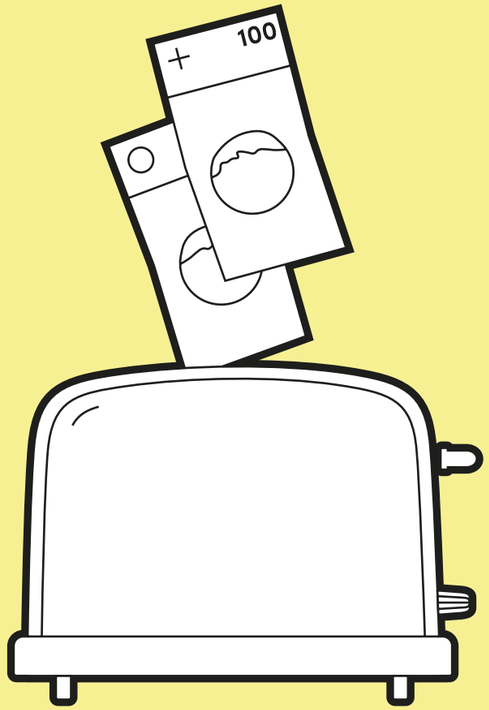

graf. Miastologia

Umiejętne liczenie pieniędzy jest istotne, bo odzwierciedlają one wartość, jaką jest praca i zaangażowanie wielu osób. Każda moneta i każdy banknot odpowiadają cząstce tego zaangażowania. Pieniądz zamyka bowiem w cyfrach wartości, jakimi się wymieniamy, oraz zasoby, które włożyliśmy. Marnotrawienie pieniędzy to ni mniej, ni więcej marnotrawienie pracy innych ludzi oraz wszelkich dóbr i zasobów, jakie oferuje nam natura. Dlatego działania mające na uwadze oszczędne i rozsądne wydawanie środków są pierwszym krokiem na drodze do bycia eko!

Takie podejście stoi w sprzeczności z dość powszechnym nastawieniem ekonomicznym, które głosi, że należy wydawać więcej – im więcej, tym lepiej – bo wtedy gospodarka się kręci. Naszym zdaniem to strategia zjadania własnego ogona.

**Zysk właścicieli lub akcjonariuszy potraktowany nie jako cel, ale jako jeden z kosztów firmy potrzebny do osiągnięcia prawdziwego celu jej działania, pozwala skupić się na innych wartościach.**

Nie można całkowicie odrzucić myślenia o zyskowności, ale warto, a nawet trzeba, pomyśleć o niej inaczej. Zysk właścicieli lub akcjonariuszy potraktowany nie jako cel, ale jako jeden z kosztów firmy potrzebny do osiągnięcia prawdziwego celu jej działania, pozwala skupić się na innych wartościach: jak najszerzej rozumianej jakości oferowanych produktów i usług. Firmy działające w ten sposób dostarczają ludziom najpotrzebniejszych rozwiązań i – jeśli nie marnotrawią przy tym pieniędzy – z czasem stają się o wiele trwalsze i wartościowsze niż podmioty, których jedynym celem jest „kasa".

Coraz szybszy rozwój technologii napędza dynamikę ludzkiej codzienności. Cykle życia poszczególnych produktów stają się coraz krótsze, a ich dotychczasowe, „tradycyjne" funkcje zaczynają się rozmywać. Dawny telefon stacjonarny bez zarzutu spełniał swoje zadanie przez dekady, dzisiejszy smartfon po upływie zaledwie trzech lat przestaje sobie radzić nawet z podstawowymi funkcjami. Kiedyś telefon służył do dzwonienia, dzisiaj jest aparatem fotograficznym, kamerą wideo, telewizorem, książką, gazetą, narzędziem do mierzenia tętna, osobistym trenerem, doradcą żywieniowym... – można by tak wymieniać bez końca.

Myślenie wyłącznie przez pryzmat zysków jest w takich warunkach zabójcze, zwłaszcza dla podmiotów o ugruntowanej pozycji na rynku. Tak długo bowiem, jak „liczby się zgadzają", nie ma potrzeby poszukiwania nowych rozwiązań. Niestety dzisiaj moment, kiedy „liczby przestają się zgadzać", to chwila, w której jest już zdecydowanie za późno – szczególnie dla firmy o rozbudowanych strukturach zarządzania, z reguły działającej zbyt ociężale, by się ratować. Konkurencja wyrasta z miejsc, o jakich niejeden zarząd korporacji nawet by nie pomyślał. Przekonał się o tym choćby Kodak – skoncentrowany na odcinaniu kuponów od swojej legendy z XX w., przespał moment przejścia na fotografię cyfrową, a jego późniejsze bankructwo było między innymi skutkiem pojawienia się konkurencji nie ze strony innej firmy z branży fotograficznej, ale ze strony producentów smartfonów.

Nawyk krótkowzrocznego patrzenia z perspektywy kwartalnej utrudnia szersze i długoterminowe spojrzenie. Maksymalizacja wyniku „tu i teraz" minimalizuje możliwości rozwoju w przyszłości.

Naturalne dla firm technologicznych kreatywne myślenie jest obecnie kluczem do zbudowania przewagi. Nie bez przyczyny pracownicy tej branży są jednymi z najlepiej zarabiających, a firmy technologiczne osiągają wyceny wyższe od tych tradycyjnych. Założona w 2003 roku Tesla jest dziś wyceniana tak samo jak General Motors, gigant z branży motoryzacyjnej istniejący od kilkudziesięciu lat – przy czym Tesla w 2016 r. sprzedała 76 tys. pojazdów, a GM 9,6 mln aut. Kreatywność jest domeną osób, które chcą mieć przede wszystkim poczucie uczestniczenia w czymś ważnym, w czymś, z czym mogą się identyfikować. Typowy korporacyjny wyścig szczurów nie jest dla tych ludzi pociągający. Dlatego też firmy chcące wygrywać muszą motywować najlepszych nie – jak do tej pory – wysokimi zarobkami, ale raczej sensownością oferowanej pracy. Maksymalizacja zysku i duże pieniądze przestały być magnesem przyciągającym najwartościowszych pracowników – jest nim teraz możliwość zmieniania świata dzięki swojej pracy.

Ukierunkowanie na zysk sprawia też, że firmy myślące wyłącznie w kategoriach finansowych nie są szczególnie lubiane. Zazwyczaj stosują strategie sprzedaży oparte na chwytach marketingowych i psychologicznych, niespecjalnie dbają o pracowników, myśląc o nich jako o „zasobach ludzkich", nie są także zainteresowane tym, w jaki sposób ich działalność wpływa na życie innych ludzi w szerszym zakresie.

Nowe pokolenie konsumentów to często ludzie poszukiwani przez sektory innowacyjne. Tak jak nie chce ono brać udziału w wyścigu szczurów, tak też nie będzie kupować produktów i usług oferowanych przez firmy niemające wartościowej misji. Swoisty bunt przeciw wciskaniu bezsensownych produktów oraz karierze będącej zgodą na wyzysk idzie w parze z rosnącą potrzebą wyznawania głębszych wartości, szukania sensu życia, budowania społecznego autorytetu nie na tym, co się posiada, ale na tym, co się robi. Firmy, które nie dostrzegają tej zmiany, mogą niebawem znaleźć się w sporych tarapatach.

**Firmy chcące wygrywać muszą motywować najlepszych nie wysokimi zarobkami, ale raczej sensownością oferowanej pracy. Maksymalizacja zysku i duże pieniądze przestały być magnesem przyciągającym najwartościowszych pracowników.**

Czy w związku z tym moda na Społeczną Odpowiedzialność Korporacji (CSR) to dobry kierunek dla współczesnych firm? To za mało. CSR najczęściej przyjmuje bowiem postać departamentu w korporacji, mającego odpowiadać za „czynienie dobra", sama firma natomiast nadal zajmuje się tym, czym zawsze, i tak, jak zawsze – szybkim zarabianiem pieniędzy. Takie podejście do CSR jest jak malowanie trawy na zielono, to forma fałszywego ocieplania wizerunku, a nie realne naprawianie świata.

Działalność każdej firmy wiąże się z mniejszym lub większym wpływem na społeczeństwo. Praca daje ludziom nie tylko pieniądze, ale także poczucie, że są potrzebni. Wytwórca ołówków rzadko zdaje sobie sprawę z tego, jak wiele osób w różnych zakątkach świata musiało podjąć trud, aby wszystkie potrzebne do produkcji elementy znalazły się w konkretnym miejscu i o określonym czasie. Nieczęsto też ma świadomość, jak ważny mógł się okazać dla kogoś taki zwykły ołówek. Korelacja z pierwszym rysunkiem serca przebitego strzałą, kalkulacjami na maturze z matematyki albo portretem ukochanej mamy – wszystko to uświadamia, jak blisko relacji międzyludzkich, skomplikowanych emocji, radości i smutków codziennego życia, może być jeden prosty ołówek.

**Odpowiedzialność społeczna biznesu to odpowiedzialność za to, jak dany produkt czy usługa wpływają na życie innych ludzi. Nie oznacza, że za jednym zamachem musimy zlikwidować całe zło na naszym globie.**

Odpowiedzialność społeczna biznesu to odpowiedzialność za to, jak dany produkt czy usługa wpływają na życie innych ludzi. Realizacja tego podejścia nie oznacza, że za jednym zamachem musimy zlikwidować całe zło na naszym globie. Na dobry początek wystarczy świadomość, że nawet jeden ołówek może mieć znaczenie i że warto go produkować oraz oferować tak, aby dzięki niemu czyjeś życie mogło stać się lepsze.

Miastologia zaczęła się od doświadczenia, które gromadziliśmy przez lata, pracując w biurach architektonicznych, spółkach deweloperskich oraz na rynku kapitałowym. Potem pojawił się pomysł, aby samodzielnie zbudować fajne i dobrze działające osiedle. Wtedy wiedzieliśmy już, że chcemy zarabiać po to, żeby działać; nie działać, żeby zarabiać. Dlatego dizajn traktujemy jako sposób myślenia o ludziach, a nie o rzeczach, i pamiętamy, że ludzie będą z naszymi projektami obcować na co dzień, a nie od święta.

Zdawaliśmy sobie sprawę z deficytu mieszkań wygodnych i funkcjonalnych, jak również z wysokich kosztów zakupu własnego „M", postanowiliśmy więc znaleźć sposób na lepszą i tańszą przestrzeń do mieszkania. Kierując się hasłem „Nie płać za niepotrzebne metry", zaoferowaliśmy mieszkania z lepszym dostępem do światła, powietrza i zieleni, a jednocześnie tańsze, bo ceniąc każdy metr kwadratowy, pozbyliśmy się zbędnych wnęk i korytarzy w projektowanych lokalach. Mieszkania szybko znalazły nabywców, zwłaszcza że kosztowały dużo mniej niż u konkurencji. Tak powstało Osiedle nad Stawem. W tym duchu projektujemy dalej.

*Maciej Ster, współzałożyciel i członek zarządu Miastologii*

# 10

# Prąd ze słońca,

## jak meble w mieszkaniu – oczywisty

fot. IKEA

**Posiadanie w domu łóżka lampy czy naczyń to oczywistość? A paneli słonecznych produkujących prąd? IKEA chce, żeby fotowoltaika stała się niebawem tak samo podstawowym wyposażeniem mieszkań jak meble. I pewnie jej się to uda.**

fot. IKEA

W IKEA wierzymy, że każdy z nas ma bardzo duży wpływ na swoje otoczenie. Żaden biznes ani społeczeństwo nie osiągną długofalowego sukcesu, jeżeli zrównoważony rozwój będzie dostępny tylko dla nielicznych. Dlatego od przyszłego roku w ofercie każdego sklepu IKEA w Polsce znajdą się panele fotowoltaiczne i usługa ich montażu – mówiła Anna Pawlak-Kuliga, prezes IKEA w Polsce, ogłaszając nowy projekt. Firma zaznacza, że zamierza wprowadzić panele fotowoltaiczne w przystępnej cenie, tak żeby jak najwięcej Polaków mogło sobie pozwolić na takie urządzenia.

Polska jest kolejnym (po Wielkiej Brytanii, Holandii i Szwajcarii) krajem, w którym zestawy mają być powszechnie dostępne. Wciąż nie znamy jeszcze szczegółów oferty, ale zapewne będzie ona zbliżona do tej wprowadzonej w Wielkiej Brytanii. Tam firma pomaga w doborze odpowiedniej powierzchni paneli fotowoltaicznych do konkretnego budynku w zależności od tego, ile energii zużywają jego mieszkańcy; sprawdza także poziom izolacji budynku, rodzaj pokrycia dachowego, lokalizację domu na działce oraz poziom jego nasłonecznienia. Po każdym z tych etapów dokonuje się wyceny instalacji, co pozwala oszczędzić czas i klientowi, i firmie.

W innych krajach działa to tak, że klienci dostają 25-letnią gwarancję na zamontowane panele fotowoltaiczne, 10-letnią na falownik (urządzenie, które przekształca prąd ze stałego w zmienny i umożliwia wprowadzenie „słonecznego" prądu do sieci) oraz 6-letnią na wydajność produkcji energii elektrycznej (po tym okresie efektywność paneli będzie spadać – obecne technologie pozwalają na pracę paneli przez ok. 30 lat, w tym czasie ilość produkowanego prądu jest zadowalająca).

W przeciwieństwie do montażu mebli instalacji paneli fotowoltaicznych i niezbędnego do ich pracy oprzyrządowania oraz podłączenia do sieci nie można wykonać samodzielnie. Dlatego oprócz urządzeń IKEA wprowadzi do swojej oferty także usługę ich montażu i – zapewne – serwisu.

Nastroje związane z energią odnawialną i nowymi regulacjami dla małych inwestorów nie są dziś w Polsce zachęcające. Państwo chce dotować jedynie inwestycje w źródła „stabilne", do których według Ministerstwa Energii fotowoltaika nie należy. IKEA będzie więc musiała nie tylko stworzyć dla klientów atrakcyjną propozycję, ale także odpowiednio ich w tej kwestii edukować.

– Jak Pan myśli, dlaczego IKEA postanowiła sprzedawać panele fotowoltaiczne właśnie teraz? – zapytał mnie niedawno właściciel firmy doradczej zajmujący się energią odnawialną. – Moda? PR? Być może. Ale prawda jest taka, że to się zaczyna opłacać nawet bez dotacji. A IKEA ze swoim potencjałem może doprowadzić do wprowadzenia fotowoltaiki pod strzechy i stworzyć nowy trend.

Tak zareagował, gdy zaczęliśmy rozmawiać o planach IKEA, by w 2017 r. wprowadzić do sprzedaży w polskich sklepach koncernu panele PV, fotowoltaiczne generatory prądu. Prezes IKEA zapowiedziała, że zwrot inwestycji w panele kupione w ich sklepach ma nastąpić szybciej niż w ciągu 10–12 lat, a o takim czasie mówiliśmy w przypadku dotychczas dostępnych na rynku urządzeń.

Z nieoficjalnych informacji wynika, że możemy liczyć nawet na 7–8-letni okres zwrotu. Co to oznacza? Prąd wyprodukowany na dachu domu będzie odprowadzany do sieci energetycznej lub do baterii znajdujących się w domu. Można będzie zatem albo go sprzedać, albo uniezależnić budynek od dostaw zewnętrznych. Odpowiednio dobrany zestaw paneli (dla czteroosobowej rodziny to zwykle urządzenia o powierzchni ok. 20 mkw.) będzie więc w stanie obniżyć dotychczasowe rachunki do zera w okresie od marca do października, a w lecie nawet przynieść dochód. W pozostałych czterech miesiącach oszczędności będą mniejsze, ale nadal sięgające przynajmniej 50 proc.

IKEA zakłada więc, że oszczędności wynikające z produkcji „własnego prądu" ze słońca w ciągu ok. 8 lat wyniosą tyle, by pokryć koszty inwestycji w panele. Następne lata pracy instalacji (a więc przynajmniej 17 lat) mają być już czystą oszczędnością.

> ***Właściciel domu jednorodzinnego może zatem płacić za prąd maksymalnie 500 zł rocznie zamiast dzisiejszych 2000 zł. Pozostałe środki zostaną u niego w kieszeni.***

Jeśli w ciągu paru lat firmie uda się udowodnić, że panele fotowoltaiczne to zakup osiągalny dla każdego i przynoszący regularne oszczędności, ruszy lawina zamówień, a związane z wyposażaniem nowych domów wizyty w sklepach IKEA będą dotyczyły nie tylko mebli, sprzętu AGD czy kranów, ale także fotowoltaiki. I stanie się to czymś zupełnie naturalnym.

W sukurs tym kalkulacjom firmy przyjdą ceny za prąd. Już teraz wiadomo, że prąd pochodzący z konwencjonalnych elektrowni na węgiel lub gaz będzie systematycznie drożał. Przy obecnych stawkach za energię osiągnięcia satysfakcjonującej stopy zwrotu inwestycji w panele można oczekiwać już po dekadzie. Plan IKEA po prostu nie może się nie udać. Firma nie jest zresztą jedyną na rynku, która ma podobne zamiary. Nikt nie chce się spóźnić ze swoją ofertą w momencie, kiedy świadomość ekologiczna i ekonomiczna Polaków tak szybko rośnie.

*pil*

fot. IKEA

fot. shutterstock

# OEES ON TOUR

## Otwórz oczy razem z nami

Ruch Open Eyes Economy mówi o swoich ideach nie tylko w czasie międzynarodowego szczytu w Krakowie. Jesteśmy wszędzie: i w Polsce, i za granicą. W drodze przez cały rok. Chcemy rozmawiać o tym, jak zmieniać nasz świat na lepsze.

W listopadzie 2016 r. Open Eyes Economy Summit oficjalnie zainaugurował działalność ruchu skupionego wokół idei ekonomii otwartych oczu. Open Eyes Economy powstał jednak nie tylko po to, byśmy raz do roku mogli spotykać się na szczycie. Przygotowując się do kolejnego spotkania w 2017 r., prowadzimy cykl konferencji OEES on Tour – roztrząsamy wybrane tematy, próbujemy wskazać nowe trendy w gospodarce i poszukać rozwiązań, które ułatwią zmaganie się z różnymi negatywnymi zjawiskami rynkowymi, a wzmocnią wdrażanie tych gospodarkę wspomagających.

Już 18 stycznia tego roku kilkadziesiąt osób miało okazję podyskutować o wartościach w ekonomii: o tym, jak je rozumieć, a także jak określane są przez praktyków i naukowców z różnych dziedzin.

W marcu, ponownie w Krakowie, przeprowadziliśmy spotkanie dotyczące polityki miejskiej. Osią dyskusji było wystąpienie prof. Huberta Izdebskiego z Uniwersytetu Warszawskiego, który pokazał, jakim wyzwaniem jest określenie wzajemnych praw i obowiązków w trójkącie: gmina–społeczeństwo–człowiek.

Najliczniejsze jak do tej pory grono słuchaczy OEES on Tour zgromadziło się w Gdańsku, gdzie 22 marca na tamtejszej Politechnice rozmawiano o sytuacji firm w epoce szybko rosnącego znaczenia zasobów niematerialnych.

Pod koniec kwietnia w Szkole Wyższej Psychologii Społecznej w Warszawie znowu, tym razem w gronie cenionych menadżerów, rozprawialiśmy o firmach-ideach. Poruszano tematy nowego podejścia do zarządzania oraz odejścia od autorytaryzmu w firmach.

9 maja byliśmy w Łodzi, gdzie dyskusja dotyczyła kompleksowego podejścia do odnowy miast – zarówno pod względem urbanistycznym, jak i społeczno-gospodarczym. Łódź jest dziś żywym laboratorium takiej rewitalizacji.

Dwa dni później w Krakowie toczyliśmy debaty o nowym podejściu do finansów i zmianie nastawienia z transakcyjnego na związane z budowaniem relacji. Gościem honorowym był profesor Arnoud W.A. Boot z Uniwersytetu Amsterdamskiego.

W planach jeszcze spotkania w Nowym Sączu (18 maja), gdzie tematem ma być inne niż dotąd podejście do zarządzania pracownikami i firmą, oraz (19 maja) w Zakopanem, gdzie ponownie chcemy poruszyć kwestię nowego rozumienia wartości w biznesie.

fot. Anna Rezuak, OEES on Tour w Gdańsku, wiosna 2017 r.

## OEES ON TOUR

### – gdzie jeszcze się pojawimy:

**3 czerwca 2017**, Lublin,
Lubelskie Centrum Konferencyjne
*Demokratyzacja demokracji miejskiej*

**12 czerwca 2017**, Kraków,
Uniwersytet Ekonomiczny
*Zarządzanie procesami w firmie-idei*

**14–15 września 2017**, Kraków,
Muzeum Inżynierii Miejskiej w Krakowie, ul. Wawrzyńca 15
*Surowce energetyczne a gospodarka zamkniętego obiegu i niskiej emisji*

Pracodawcy Rzeczypospolitej Polskiej

najlepsi w reprezentowaniu najlepszych

PONAD
12 000
FIRM

ZATRUDNIAJĄCYCH PRZESZŁO
5 000 000
PRACOWNIKÓW

Dołącz do nas: www.pracodawcyrp.pl

## Oni są z nami

FUNDACJA GOSPODARKI I ADMINISTRACJI PUBLICZNEJ

**Fundacja Gospodarki i Administracji Publicznej**
ul. Rakowicka 10 b/10, 31-511 Kraków

fax: **(+48) 12 423 76 05**
e-mail: **biuro@fundacjagap.pl**

**www.fundacjagap.pl**

AGENCJA ARTYSTYCZNA GAP

**Przedsiębiorstwo Społeczne Agencja Artystyczna GAP Sp. z o.o.**
ul. Rakowicka 10 b/10, 31-511 Kraków

tel.: **(+48) 12 423 76 03**
e-mail: **biuro@aagap.pl**

**www.aagap.pl**

nowohuckie centrum kultury

**Nowohuckie Centrum Kultury**
al. Jana Pawła II 232, 31-913 Kraków

tel.: **(+48) 12 644 02 66**
e-mail: **nck@nck.krakow.pl**

**www.nck.krakow.pl**

Eskadra

**Grupa Eskadra Sp. z o.o.**
ul. Jeleniogórska 17, 30-422 Kraków

tel.: **(+48) 12 25 23 700** fax: **(+48) 12 25 23 701**
e-mail: **biuro@eskadra.pl**

**www.eskadra.pl**

# 11

# Sprzedawcy z misją

## – muszą edukować o smogu i oszczędzaniu energii

Jedną z metod walki ze smogiem w miejscach odległych od sieci ciepłowniczych i gazowych jest ogrzewanie domów pompami ciepła. Sprzedawcy tych urządzeń wcielają się więc w misjonarzy antysmogowych, by przekonywać do nieznanej szerzej technologii. Pomocy państwa nie mają.

Polska jest krajem o wyjątkowo zanieczyszczonym powietrzu, a głównym źródłem smogu w miastach i miasteczkach, szczególnie tych leżących w dolinach, są domowe piece opalane węglem i drewnem. W ciągu ostatnich 25 lat w naszym kraju przybyło domów (jest ich już o ok. 30 proc. więcej niż w roku 1990), a większość z nich ze względów finansowych ogrzewana jest właśnie węglem lub drewnem. Dlatego w takich miejscowościach jak Rabka Zdrój, Sucha Beskidzka czy Żywiec problem zanieczyszczenia powietrza z roku na rok staje się coraz poważniejszy. Władze tych miejscowości borykają się ze znacznie większymi trudnościami niż te spotykane w dużych miastach. Mieszkańcy wiosek i małych miasteczek zwykle nie mają dostępu do sieci ciepłowniczych i gazowych. Najczęściej ogrzewają zatem albo piecami węglowymi, albo prądem. Piece dymią na potęgę, niszcząc nasze zdrowie. Grzałki elektryczne są bezemisyjne, ale drenują portfele. Koszt ogrzewania prądem może być cztero-, pięciokrotnie wyższy niż węglem.

Od kilku lat na rynku istnieje już jednak alternatywa dla pieców węglowych i elektrycznych, która świetnie się sprawdza na obszarach pozbawionych innych źródeł energii. To pompy ciepła. Pompy także są zasilane energią elektryczną, ale w porównaniu z piecami zużywają jej trzy, cztery, a nawet pięć razy mniej, osiągając ten sam efekt (wszystko zależy od rodzaju pompy i poziomu zaizolowania domu, w którym została zainstalowana). Ponieważ zużywają tylko prąd, nie emitują żadnych zanieczyszczeń. W małych miejscowościach mogą być świetnym sposobem, aby zmniejszyć poziom zanieczyszczeń.

***Pompy są zasilane energią elektryczną, ale w porównaniu z piecami elektrycznymi zużywają jej trzy, cztery, a nawet pięć razy mniej, osiągając ten sam efekt.***

Pompy ciepła to stosunkowo nowa technologia, w Polsce wciąż słabo znana. Niewiele osób rozumie też, jak działają. Tymczasem niemal każdy ma w domu pompę ciepła: lodówkę. Pompa ciepła ogrzewająca dom działa wg takich samych zasad. Co się dzieje w lodówce? Jej wnętrze jest szczelnie zamknięte i dobrze odizolowane od otoczenia. W obudowie ułożona jest siatka rurek, przez które przepływa odczynnik świetnie odbierający ciepło, lepszy niż woda. Kiedy do lodówki wkładamy kilka butelek, sery, wędliny, warzywa, które mają swoją temperaturę (zwykle kilkunastu stopni Celsjusza), odczynnik „ogrzewa się" nimi i wypływa na zewnątrz lodówki – z tyłu urządzenia umieszczono kratkę, która jest niczym innym jak... kaloryferem. Jeśli jej dotknąć, okaże się ciepła. Lodówka ogrzewa więc mieszkanie ciepłem włożonych do niej produktów. To nie perpetuum mobile, potrzebna jest więc energia – prąd napędzający sprężarkę, która porusza odczynnik w rurkach i zwiększa jego ciśnienie, a co za tym idzie skuteczność całej maszyny. Pompy ciepła ogrzewające dom biorą ciepło z zewnątrz budynku i oddają je w środku. Mogą pobierać energię bezpośrednio z powietrza albo z gruntu (wtedy odczynnik odbierający ciepło przepływa rurami zakopanymi na głębokości przynajmniej 1,5 m). We wnętrzu domu ogrzewa nas zaś odpowiednik „grzejnika" z tylnej ściany lodówki.

***Pompy ciepła to technologia w Polsce wciąż mało znana. Tymczasem niemal każdy ma pompę ciepła w domu: lodówkę. Pompa ciepła ogrzewająca dom działa wg takich samych zasad, tyle że grzeje dom, a chłodzi jego otoczenie.***

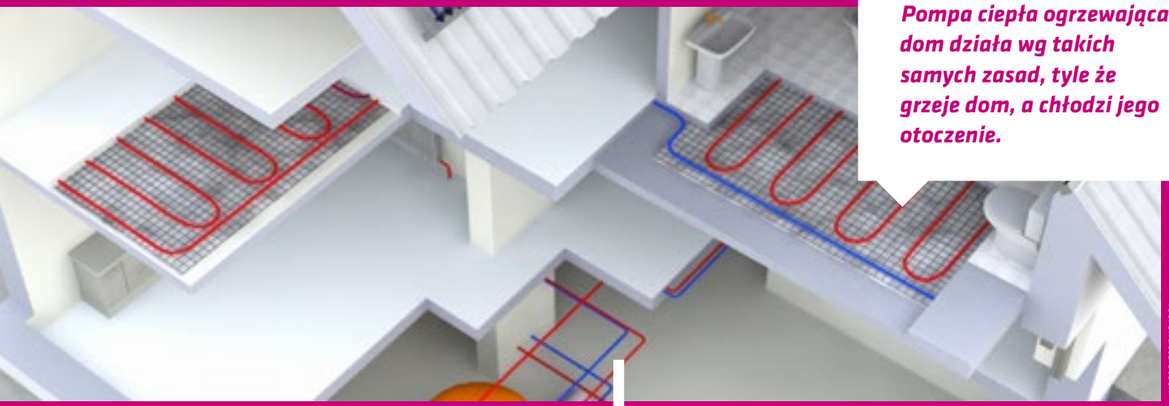

fot. shutterstock

**Schemat rozprowadzonych w podłodze rur, poprzez które ogrzewa się budynek z zainstalowanymi w nim pompami ciepła.**

fot. shutterstock

**Im lepsza izolacja termiczna budynku, tym większa skuteczność zainstalowanych pomp ciepła.**

***Do argumentów ekonomicznych dołączył przekaz ekologiczny. Jednak mieszkańcy regionów z zanieczyszczonym powietrzem o bezemisyjnym źródle ciepła, jakim jest pompa, często w ogóle nie słyszeli.***

Taki uproszczony obraz niemal za każdym razem muszą rysować swoim potencjalnym klientom producenci i pośrednicy sprzedający pompy ciepła. Zmuszeni są także pokazywać obliczenia dowodzące efektywności energetycznej pomp i przekonywać o ich bezawaryjności. Na szczęście są już przykłady takich urządzeń pracujących przez kilkanaście lat bez przerwy.

– Ostatnio do argumentów ekonomicznych dołączył także przekaz ekologiczny. Mieszkańcy regionów, w których powietrze jest silnie zanieczyszczone, coraz częściej zdają sobie sprawę, że niebawem na ich obszarze mogą się pojawić obostrzenia dotyczące jakości urządzeń grzewczych. Rozumieją, że jeśli dziś zainstalują piec węglowy, to za kilka lat prawdopodobnie będą zmuszeni do jego likwidacji. Ale o bezemisyjnym źródle ciepła, jakim jest pompa, najczęściej nie słyszeli – mówi Paweł Lachman, lider stowarzyszenia PORT PC, zrzeszającego pośredników i producentów pomp.

Pompy nie są jednak panaceum na każdą problematyczną sytuację. Najbardziej opłaca się je montować w nowych, odpowiednio ocieplonych budynkach, gdzie bez przeszkód można zainstalować ogrzewanie podłogowe (to najskuteczniejszy „kaloryfer" pompy ciepła). Mniejsze korzyści ekonomiczne można uzyskać w przypadku istniejących już budynków, które zwykle trzeba modernizować, bo są niewystarczająco zaizolowane albo nie mają możliwości poprowadzenia ogrzewania w podłodze. Opłacalność takiej inwestycji da się jednak wyliczyć z dość dużą dokładnością.

Samorządy wprawdzie dotują inwestycje w wymianę źródła ciepła na bardziej ekologiczne, ale najczęściej można ubiegać się o dofinansowanie na kupno nowoczesnego pieca węglowego, gazowego lub częściowy zwrot kosztów podpięcia budynku do sieci ciepłowniczej. Uzyskanie wsparcia finansowego z przeznaczeniem na kupno pompy ciepła jest niemal niemożliwe.

Sprzedawcy pomp muszą więc jednocześnie przekonywać do nowej, nieznanej szerzej technologii i zarazem tłumaczyć Polakom sens walki ze smogiem. W żmudnym procesie edukowania zastępują stronę publiczną – jak dotąd poza województwem małopolskim nie uruchomiono żadnego publicznego programu promującego czyste metody ogrzewania.

*pil*

12

# Tylko szaleńcy nie piją wody z kranu

Do wody z kranu wciąż trzeba przekonywać, choć od lat wiadomo, że w całej Polsce można pić surową i zwykle całkiem dobrze smakującą kranówkę. Używanie wody z kranu jest dwieście razy tańsze niż kupowanie butelkowanej, a przy tym korzystne dla środowiska: odkręcając kran, zużywamy mniej plastiku i... mniej wody.

fot. shutterstock

Niemal wszystkie firmy wodociągowe w większych miastach Polski prowadzą akcje przekonujące do wody z kranu. Podobnie jest i w innych miastach europejskich, gdzie kranówka przez bardzo wielu ludzi uznawana jest za niepijalną. Dlaczego? Lata temu powodem było przede wszystkim to, że chlorowana woda wodociągowa najzwyczajniej niemiło pachniała i kiepsko smakowała. Ze względów bezpieczeństwa, na wszelki wypadek, zalecano jej przegotowywanie do picia. Tak było 30 lat temu.

***Pić wodę z kranu? Szaleństwem byłoby tego nie robić. Jakość wody z kranu jest na poziomie wody źródlanej lub stołowej sprzedawanych w butelkach.***

Od tamtej pory zmieniły się i technologie stosowane przez firmy wodociągowe, i rurociągi. Ten skok jakościowy łatwo zauważyć właśnie w Polsce, gdzie w ciągu dekady doszło do wyrównania przepaści infrastrukturalnej dzielącej kraj od innych państw starej Unii Europejskiej. Większość gmin, wykorzystując wsparcie unijne, zadbała w tym czasie o modernizację swoich stacji uzdatniania wody i sieci wodociągów.

Paradoksalnie właśnie w tym okresie systematycznie rosła sprzedaż wody butelkowanej, wlewanej głównie do pojemników plastikowych. W 1990 r. w Polsce rozlewano 380 mln litrów wody, w 2016 było to już 5,3 mld litrów. Wychodzi więc na to, że w czasach kiepskiej wody z kranu piliśmy jej o wiele więcej niż obecnie. Na dodatek wtedy woda była rozlewana do butelek szklanych, niemal zawsze zwrotnych.

fot. shutterstock

Moda na promowanie wody z kranu nie jest polskim wyjątkiem. Na półkach sieci sklepów spółdzielni Coop od dłuższego czasu można znaleźć tylko wodę mineralną. Baniaków i butelek z wodą źródlaną czy stołową nie ma. W ten sposób firma postanowiła zadbać o swój wizerunek, pokazując, że nie będzie sprzedawać czegoś, co można mieć wielokrotnie taniej prosto z kranu.

O ile taniej? Na wodę w butelkach wydajemy w Polsce rocznie ok. 3 mld zł. Statystyczny Polak kupuje co roku ok. 70 litrów wody butelkowanej. Rzadko jednak czyta etykiety; kieruje się głównie ceną. Najczęściej wychodzi ze sklepu z wodą o jakości porównywalnej do kranówki. Za 200 zł nabywa zatem coś, co mógłby mieć za 1 zł, gdyby pił tylko wodę z wodociągów.

***Kupując butelkę z wodą mineralną, zużywamy nie tylko to, co zostało do niej wlane, ale także to, co wykorzystano do jej produkcji. A jedna butelka PET to 26 litrów wody potrzebnej do rafinacji plastiku i wydmuchania butelki. Wszystko jest zaś 200 razy droższe niż litr wody z kranu.***

Przy okazji: zamiast co roku kupować 50 butelek PET, mógłby kupić jeden bidon za 40 zł i używać go codziennie, napełniając kranówką i dbając w ten sposób o środowisko. Przesada? Polacy wyrzucają na wysypiska 110 tys. ton butelek PET rocznie.

Ograniczenie zużycia plastikowych butelek to nie tylko zmniejszenie kłopotów z odpadami (recykling kosztuje, a wyrzucanie na wysypisko kosztuje horrendalnie), to przede wszystkim ograniczenie zużycia ropy naftowej – produkcja tworzyw sztucznych pochłania bowiem ok. 4 proc. rocznego wydobycia tego surowca. Jeśli pomyśleć o zastraszającym tempie, w jakim kurczą się ograniczone zasoby ropy, to zmniejszenie ilości produkowanego plastiku pozwoliłoby wydłużyć czas korzystania ze złóż ropy, wciąż bardzo ważnego surowca, o kilkadziesiąt lat.

Rezygnując z butelek PET, oszczędzamy jeszcze jeden ważny surowiec... – wodę! Kiedy kupujemy butelkę z wodą mineralną (nie ma tu wielkiego znaczenia, czy mowa o butelce półlitrowej, litrowej czy półtora litrowej), zużywamy nie tylko to, co zostało do niej wlane, ale także to, co wykorzystano do jej produkcji. A jedna butelka PET to 26 litrów wody potrzebnej do rafinacji plastiku i wydmuchania butelki. Mówiąc jeszcze prościej: kupując zgrzewkę wody mineralnej, zużywamy tyle wody, ile przeciętny człowiek wypija przez miesiąc.

Pić wodę z kranu? Szaleństwem byłoby tego nie robić. Trzeba jednak najpierw wyjaśnić kilka rzeczy. Woda mineralna z kranu nie popłynie nigdy. Natomiast, owszem, jakość wody z kranu jest na poziomie wody stołowej sprzedawanej w pięciolitrowych baniakach; dorównuje też tzw. wodzie źródlanej z butelek.

Woda butelkowana bardzo rzadko jest wodą mineralną. Najczęściej to woda źródlana, a nierzadko taka sama jak ta z kranu. Spośród obecnych w polskich sklepach ponad 200 marek oferujących wodę butelkowaną tylko 30 sprzedaje taką, którą eksperci określiliby mianem mineralnej. Reszta to źródlane wody głębinowe, a czasem... woda z sieci wodociągowej nasycona minerałami. Żeby to sprawdzić, wystarczy przeczytać etykietę – musi ona zawierać informacje o składzie chemicznym (stopień i rodzaj mineralizacji) oraz wskazywać miejsce odwiertu, jeśli woda pobierana jest z natury. Jeżeli nazwy miejscowości nie ma, oznacza to, że woda jest sztucznie mineralizowana. Czasem dlatego, że jest zwykłą wodą z wodociągu, a czasem – żeby zachowała stały smak (ten naturalny może się zmieniać, czego klienci nie lubią).

Woda, która płynie z kranu, ze względów sanitarnych zawsze jest uzdatniana, a dzięki zastosowanym technologiom oczyszczania, jak ograniczanie chlorowania na rzecz promieni UV, jest też zwykle smaczna. W tych miejscowościach, gdzie lokalne wodociągi korzystają ze źródeł głębinowych, woda z kranu nie różni się niczym od źródlanej z butelki. O wiele częściej jednak pobiera się wodę ze źródeł powierzchniowych albo ze zbiorników wodnych, a więc z przefiltrowanej przez glebę deszczówki, która wymaga oczyszczania biologicznego i chemicznego.

***Należy pamiętać, że butelkę z wodą trzeba opróżnić w dwa, trzy dni. Woda może się zepsuć.***

Należy też pamiętać o tym, że butelkę z wodą mineralną powinniśmy opróżnić w dwa, maksymalnie trzy dni. Ewentualnie przechowywać ją w lodówce. Woda bowiem może się zepsuć. Im więcej minerałów, tym łatwiej o rozwój w wodzie różnych mikroorganizmów. Czy wodę z kranu wypijamy po tym, jak odstoi w szklance dwa dni? Nie. Dlaczego mielibyśmy więc robić tak z wodą z plastikowej butelki?

*pil*

13

# Winda na wynajem, czyli taksówką między piętrami

Kultura współdzielenia i wynajmowania szybko się rozpowszechnia. Bike-, car-sharing, leasing czy wynajem oszczędzają pieniądze i środowisko. Stąd też kolejny pomysł – na usługę przewozów windą.

W ciągu minionej dekady miejskie rowery podbiły miasta Europy Zachodniej. Wypożyczalnie samochodów, kiedyś ulokowane niemal wyłącznie na lotniskach, dziś są rozrzucone po całej miejskiej mapie, bo chętnych do okazyjnego wynajęcia auta, żeby wyskoczyć za miasto, nie brakuje. A samochody są we współczesnych miastach coraz większym problemem – nie tylko ze względu na spaliny, ale również przestrzeń, jaką zajmują. Dlatego władze zaczynają wspierać funkcjonowanie alternatywnych wypożyczalni samochodów, oferujących udostępnienie auta nawet na jedno- czy dwukilometrowe przejazdy. Tak funkcjonujące samochody niemal ciągle pozostają w ruchu, a jeśli parkują, to o wiele krócej niż auta prywatne (te stoją nieużywane przez 92 do 98 proc. czasu).

***Mitsubishi proponuje, by najemca płacił stałą miesięczną stawkę „za windę", a firma sama zajmie się wszystkim innym: opłatami za energię, serwisem, modernizacją.***

Leasing czy wynajem auta to dla miasta ulga, bo dzięki nim rozsądniej wykorzystywana jest cenna powierzchnia parkingowa. Z kolei dla kierowców – po prostu sposób na zaoszczędzenie pieniędzy. Ci, którzy przejeżdżają rocznie mniej niż 15 tys. km, oscylują na granicy opłacalności posiadania własnego czterokołowca. Niektórzy wolą więc postawić na leasing albo okazjonalny wynajem samochodu na dłuższe wyjazdy – w ten sposób wszystkie wydatki związane z utrzymaniem i awariami mają z głowy. W skali roku koszty użytkowania wynajmowanego auta prawdopodobnie będą wyższe, ale po pięciu latach pewnie okaże się, że oprócz oszczędności finansowych można liczyć także na święty spokój i nie myśleć o takich kwestiach jak odsprzedaż wyeksploatowanego samochodu. W systemie tym kupuje się bowiem właściwie usługę przejazdu, której koszt jest z góry przewidywalny. W dodatku oferującemu wynajem zależy na tym, żeby awarie sprzętu zdarzały się jak najrzadziej, zaś przerwa w podróży trwała tylko do czasu podstawienia samochodu zastępczego.

***W ostatnim czasie firma Mitsubishi przedstawiła zaskakującą ofertę: wynajmu windy do przewożenia między piętrami.***

***Firma Mitsubishi proponuje wynajem windy, w zamian za co ma zająć się: opłatami za zużytą energię, za serwis i pracę techników w razie awarii, karami za przestój windy, a później – po kilkunastu latach – jej utylizacją, jeśli najemca się rozmyśli.***

Tym samym tokiem myślenia kierowała się firma Mitsubishi zajmująca się produkcją wind. Oferuje ona urządzenia spełniające wszystkie najsurowsze wymogi związane z energooszczędnością i dbałością o środowisko (certyfikaty BREEAM, LEED, DGNG, VDI, CASBEE itp.), co pozwala mówić o obniżeniu zużycia energii przez windy o 20 proc. w porównaniu do tych sprzedawanych 20 lat temu. Mitsubishi produkuje także windy poruszające się z rekordowymi prędkościami (20,5 m/s, czyli prawie 75 km/h). Firma od lat stawia na ograniczenie ilości marnowanych materiałów – to realna obniżka kosztów produkcji, a jednocześnie mniejsze straty dla środowiska.

W ostatnim czasie, aby podnieść swoją konkurencyjność, Mitsubishi przedstawiło zaskakującą ofertę... wynajmu windy. Najczęściej przecież deweloper inwestujący w biurowiec lub budynek mieszkalny windę kupuje, a później jej utrzymaniem i serwisem zajmuje się już administrator budynku.

Mitsubishi proponuje, by najemca płacił stałą miesięczną stawkę „za windę", a firma sama zajmie się wszystkim innym: opłatami za zużytą energię, za serwis i pracę techników w razie awarii, karami za ewentualny przestój windy, a później – po kilkunastu latach – jej utylizacją, jeśli najemca się rozmyśli.

Tego rodzaju propozycja stanowi pewien przełom w myśleniu. Koszt wynajmu usługi przewożenia windą między piętrami jest dla klientów dziwną pozycją w rachunkach i zalicza się do wydatków stałych, a nie majątkowych. Usługa nie jest też tania. – Pozornie – mówi Owen Zachariasse z Delta Development Group, firmy od kilku lat realizującej kwartał biurowy Park 20|20 przy lotnisku Schiphol w Holandii. Budynki wchodzące w jego skład są projektowane z myślą o energooszczędności, a materiały potrzebne do ich realizacji w pełni poddają się recyklingowi lub wręcz nadają się do wykorzystania w innych konstrukcjach natychmiast po demontażu. – Dlatego kiedy na horyzoncie pojawił się projekt firmy Mitsubishi, zdecydowaliśmy się skorzystać. Owszem, kupno windy wydaje się tanie w porównaniu ze stawką, jaką płacimy Mitsubishi w ciągu obowiązywania umowy, ale wszystko jest policzone tak, że realny koszt kupna i statystyczne koszty utrzymania powinny być wyższe niż koszt naszej umowy najmu. Dla nas ważne jest jedno: cena z pewnością się nie zmieni, a przy własnej windzie ten koszt może być różny. Dzięki temu łatwiej planuje się inwestycje – mówi Zachariasse.

W czym tkwi haczyk? Wszystkie oszczędności idą na konto Mitsubishi. Im bardziej energooszczędna będzie winda, tym więcej z opłat wynajmu zostanie w kieszeni producenta. Mniejsza awaryjność windy, mniej przestojów, a więc niższe koszty serwisu i mniej kar? Zysk Mitsubishi. Na rynku pojawia się efektywniejszy silnik? Wymiana silnika na nowocześniejszy będzie kosztem Mitsubishi, ale i oszczędności będą zyskami firmy.

Chociaż więc usługa nie jest tania, liczy się to, że daje gwarancję niezawodności, bo to dostarczycielowi usługi będzie zależało na maksymalnej jakości. Do tej pory po sprzedaniu windy zrzucał z siebie tę odpowiedzialność. Gdzie szukać haczyka nr 2? Po zakończeniu umowy Mitsubishi zabiera windę i wszystkie materiały. Surowce, których użyto do produkcji, ma dla siebie. A to materiały o ogromnej wartości. Dość przypomnieć, że znane nam złoża miedzi wystarczą jeszcze na jakieś 50 lat przy zachowaniu obecnego tempa eksploatacji. Za naszego życia rudy miedzi mogą się zatem wyczerpać. Cena miedzi z pewnością pójdzie w górę, a sporo tego metalu wykorzystuje się choćby w zwojach silników elektrycznych.

***Za naszego życia rudy miedzi mogą się wyczerpać. Cena miedzi z pewnością pójdzie w górę. Wynajęte windy wrócą do Mitsubishi, a wraz z nimi zwoje z miedzią.***

*pil*



fot. shutterstock

fot. shutterstock

# 14 Kalisz – nowy dyktator mody chodnikowej

Od kilku lat zarządzający miastami wreszcie zwracają uwagę na estetykę ulic i przestrzeni publicznej. Jednym z ciekawszych pomysłów była decyzja władz Kalisza o rezygnacji z kostki brukowej na chodnikach – tak powstają chodniki dla ludzi w każdym wieku.

Estetyka przestrzeni publicznych od dłuższego już czasu przewija się w dyskusjach o zarządzaniu miastami jako pełnoprawny element polityki. Nie chodzi wyłącznie o kwestię piękna, ale również o rolę porządkującą prowadzenie biznesów, podnoszenie wartości wybranych kwartałów miasta, a także o wzrost ich funkcjonalności.

Dlatego wiele miast Polski – zwłaszcza tych turystycznych – z zainteresowaniem przyglądało się wprowadzonym w Krakowie przepisom o parku kulturowym na obszarze najstarszej części miasta. Bezpośrednim powodem wdrożenia tych zasad była chęć zapanowania nad liczbą i wielkością szyldów oraz reklam umieszczanych w zabytkowej starówce. Oprócz chaosu, jaki narzucały w przestrzeni publicznej, wzięto też pod uwagę obniżenie atrakcyjności turystycznej starego miasta. Po wprowadzeniu nowych przepisów pozytywny efekt był widoczny niemal natychmiast. W ciągu roku doprowadzono do ustandaryzowania szyldów i kolorystyki elewacji. Przedsiębiorcy z pewnością na tym nie stracili.

**Kalisz wprowadził zakaz wykorzystywania betonowej i kamiennej kostki brukowej na chodnikach. Do zastąpienia ich płytami chodnikowymi wystarczyło rozporządzenie prezydenta miasta.**

Polskie miasta przymierzają się też na różne sposoby do zastosowania tzw. ustawy krajobrazowej, która pozwala na ustalanie na obszarze miasta regulacji w takich kwestiach jak kolorystyka pokryć dachowych czy rodzaj ogrodzeń.

Bez posiłkowania się tymi przepisami zadziałały za to władze Kalisza, wprowadzając zakaz wykorzystywania do budowy chodników betonowej oraz kamiennej kostki brukowej i całkowite zastąpienie jej płytami chodnikowymi. Wystarczyło rozporządzenie prezydenta Kalisza dotyczące standardów remontowania ulic. Wcześniej podobne deklaracje składali m.in. urzędnicy z Poznania i Warszawy. Plastyk miejski Poznania przekonywał, że na kostkę brukową będzie się godził wyłącznie tam, gdzie nie ma fizycznej możliwości położenia płyt. Z kolei wycofanie się z używania kostki betonowej było jedną z pierwszych decyzji nowego szefa Zarządu Dróg Miejskich w Warszawie w zeszłym roku. – Widzę tylko jedną zaletę kostki: jest wytrzymalsza, gdy parkują na niej samochody. Chodnik powinien być równy i mieć jak najmniej zagłębień, wyniesień, załamań. Będziemy więc układać płyty chodnikowe, tzw. pięćdziesiątki, wszędzie, gdzie nie ma innych zaleceń konserwatora – mówił dyrektor Puchalski.

Kalisz jako pierwszy w Polsce oparł swoje rozporządzenie na miejskich przepisach, powstała przy tym książka standardów. Każdy chodnik, jaki będzie teraz projektowany lub remontowany w tym mieście, na całej powierzchni ma być układany wyłącznie z szerokich płyt chodnikowych, kamiennych lub betonowych, o wymiarach 50 na 50 cm.

Często zapomina się, że chodnik z płyt jest wygodny dla osób w każdym wieku, w każdym obuwiu (jak choćby damskie szpilki), komfortowy dla pchających wózek dziecięcy lub inwalidzki, ciągnących walizkę czy torbę na zakupy, a w końcu dla tych wszystkich, którzy wspierają się na kulach lub balkoniku.

**Chonik z płyt jest wygodny dla osób w każdym wieku, w każdym obuwiu, komfortowy dla pchających wózki z dziećmi czy z zakupami, a także dla osób podpierających się balkonikiem.**

W trosce o osoby niewidome i niedowidzące Kalisz jako pierwsze miasto w Polsce wprowadził również obowiązek umieszczania wzdłuż krawężnika półmetrowego pasa z tak zwanych płyt ostrzegawczych, informujących niewidomych o tym, że chodnik się kończy.

– Każdego dnia 100 tysięcy kaliszan w trakcie przemieszczania się po mieście przemierza piechotą kilkaset tysięcy kilometrów. Chcemy, żeby chodzenie ulicami sprawiało im przyjemność, a nie by było źródłem codziennej udręki. Cieszę się, że właśnie w Kaliszu zaczyna się chodnikowa kontrrewolucja, przywracająca porzucony po roku 1989 dobry zwyczaj budowania chodników wyłącznie z płyt chodnikowych – mówił Grzegorz Sapiński, prezydent Kalisza, ogłaszając w grudniu zeszłego roku nowo wprowadzony program.

– Opinie ankietowanych przeze mnie pieszych były jednoznaczne: najlepiej chodziło im się po jak najszerszych płytach chodnikowych. Cieszę się, że władze Kalisza wyciągnęły z tych obserwacji praktyczne wnioski i przyjęły standardy – komentuje Arkadiusz Pacholski, aktywista miejski, współautor standardów dotyczących chodników. – Projektanci polskich chodników przez ćwierć wieku zamienili je we wzorzyste kobierce, zamiast skupić się na ich funkcji: umożliwieniu pieszym wygodnego przemieszczania się po mieście. Ozdobą ulicy ma być dobra architektura, a nie kolory. Chodnik nie powinien rzucać się w oczy – dodaje Łukasz Janowski, architekt, współautor nowej polityki Kalisza.

**Polskie miasta przymierzają się do zastosowania tzw. ustawy krajobrazowej, która pozwala m.in. na narzucenie kolorystyki elewacji czy nakaz zlikwidowania istniejących już płotów.**

Zarządzanie chodnikami to domena gminy, trudno więc podważyć takie decyzje jak te podjęte w Kaliszu. Jednak urzędowe decyzje dotyczące wyglądu małej architektury na gruntach prywatnych z pewnością będą budzić kontrowersje. Kraków, wykorzystując ustawę krajobrazową, planuje na pewnych obszarach miejskich całkowicie zakazać budowy płotów, a na innych domagać się, by nie były one murami. Takie podejście będzie wymagało długotrwałego edukowania obywateli. Choć idea osiedli bez płotów, którą Kraków chce promować, służy otwarciu przestrzeni publicznej dla pieszych i ma im ułatwić przemieszczanie się czy nawiązywanie stosunków sąsiedzkich, nie zyskuje to przychylności mieszkańców tych osiedli. Firma Atal postanowiła zrezygnować z płotów na jednym z budowanych w Krakowie osiedli. Zanim zapadła ostateczna decyzja, deweloper zapytał nabywców mieszkań o opinie. W ten sposób szczytna idea przepadła. Większość mieszkańców nowego osiedla zażyczyła sobie ogrodzenia. Jedyną zmianą na lepsze jest większa niż gdzie indziej liczba furtek pomiędzy kwartałami osiedla.

*pil*

# 15

# *Gig economy,* czyli ile kosztuje wolność

Nowe formy pracy, oparte o elastyczne rozwiązania prawne, budzą obawy przed wpędzeniem społeczeństwa w stan permanentnej niepewności. Jednak zalet zjawiska zwanego *gig economy* jest wiele i tylko od nas zależy, czy przegrają z wadami.

fot. shutterstock

Nie od wczoraj wiadomo, że jedyną rzeczą, której możemy być pewni we współczesnej gospodarce, jest ciągła zmiana. Czasy, kiedy większość pracowników mogła oczekiwać, że całe swoje zawodowe życie spędzi na etacie u jednego pracodawcy, to zamierzchła przeszłość. Postęp technologiczny, ewoluujące preferencje konsumentów oraz dostosowujący się do nich na bieżąco rynek siłą rzeczy przeobrażają również świat pracy.

Od kilku dobrych lat dość powszechna jest świadomość, że pracownicy muszą nieustannie aktualizować swoje kompetencje, a czasami wręcz zupełnie się przekwalifikować – tak dalece zaszły strukturalne zmiany w gospodarce.

Często jednak nie dostrzega się wielowymiarowości zachodzących zjawisk. Obserwowana obecnie forma relacji pomiędzy wykonującymi pracę, zlecającymi jej wykonanie a finalnymi beneficjentami świadczonych usług jest bowiem czymś zupełnie nowym, co zyskało miano *gig economy*. Pojęcie to, jak większość nowo powstałych terminów określających nieznane wcześniej procesy, dopiero czeka na precyzyjną definicję. Niektórzy komentujący *gig economy* skupiają się na stosowaniu w jej obrębie mniej sformalizowanych, luźniejszych i mających coraz bardziej tymczasowy charakter form zatrudnienia pracowników.

Jednak przyjmując tak wąskie spojrzenie na tę kwestię, tracimy z pola widzenia cały szereg innych istotnych aspektów, jak choćby fakt, że pracowników uczestniczących w *gig economy* nie dotyczy klasycznie rozumiana podległość służbowa. Co więcej, mówienie wyłącznie o elastyczności może doprowadzić nas do wniosku, że Polska – jako kraj, w którym zatrudnienie na umowach tymczasowych przybrało największe rozmiary w Unii Europejskiej – znalazła się w awangardzie zachodzących przemian. Tymczasem nie o samą elastyczność, zwykle po prostu wygodną dla pracodawców, tu idzie.

*Gig economy* to coś więcej niż liberalnie pojmowane stosunki pracy. To nierzadko praca całkowicie wymykająca się spod jakichkolwiek ram zakreślanych przez dotąd obowiązujące prawo, zrywająca z dotychczasowymi paradygmatami, na przykład z założeniem, że pracownik na ogół związany był z jednym, a nie z wieloma pracodawcami, co ściśle określało jego pozycję w hierarchii.

***Katalizatorem rozwoju* gig economy *stały się nowe technologie. Najbardziej znanym casusem są aplikacje takie jak Uber. Ograniczają one znaczenie wszelkich pośredników i ułatwiają wejście na rynek z produktami i usługami.***

Katalizatorem rozwoju *gig economy* stały się nowe technologie, w szczególności te, które tworzą całkowicie nową płaszczyznę wymiany informacji, trudną do wyobrażenia jeszcze kilkanaście lat temu. Chodzi przede wszystkim o sprawne kojarzenie osób, które wykazują zapotrzebowanie na daną usługę, z ludźmi gotowymi do jej wykonania. Najbardziej znanym, oczywiście nie jedynym, casusem są aplikacje takie jak Uber. Ograniczają one znaczenie wszelkich pośredników oraz zmniejszają liczbę warunków koniecznych do spełnienia, by zaistnieć na rynku w roli usługodawcy lub producenta.

Jakie konsekwencje dla pracujących niesie *gig economy*? Krytycy zjawiska – niebezpodstawnie zresztą – będą wskazywać przede wszystkim na postępującą utratę bezpieczeństwa zatrudnienia. W tradycyjnym podejściu pomyślne przejście procesu rekrutacji oznaczało dla pracownika, iż mógł spokojnie założyć, że zdobytą pracę będzie po prostu miał, latami. W świecie *gig economy* nic nie jest tak oczywiste. O pracę, nierzadko w formie drobnych zleceń, trzeba bezustannie zabiegać. Efektem tego jest zaś życie pod ciągłą presją. Duża konkurencja pomiędzy osobami gotowymi wykonać określoną usługę prowadzi do spadku stawek, a zatem również dochodów. Stąd właśnie bierze się zarzut, że nowoczesne formy zatrudniania są w istocie innowacyjnym ustrojstwem do zaniżania kosztów pracy. Aby utrzymać poziom swoich dochodów, usługodawcy mogą być zmuszeni do wydłużania czasu pracy.

**Gig economy *to przede wszystkim większa wolność dla pracowników, którzy sami mogą decydować, kiedy, gdzie, jak i dla kogo będą pracować. Trudno przecenić te korzyści.***

Nie można jednak tracić z pola widzenia zalet *gig economy*. To przede wszystkim większa wolność dla pracowników, którzy sami mogą decydować, kiedy, gdzie, jak i dla kogo będą pracować. Trudno przecenić korzyści z tego wynikające. Ludzie umiejący zorganizować sobie czas pracy nigdy dotąd nie mieli takich możliwości zarobkowych. Kryje się w tym również potencjał do aktywizacji osób dotychczas wykluczonych z życia zawodowego.

Paradoksalnie może być więc i tak, że pracownik *gig economy* ma większe poczucie bezpieczeństwa niż osoba zatrudniona na etacie – nie jest bowiem zdany na łaskę jednego pracodawcy, jego ryzyko się dywersyfikuje.

Z punktu widzenia przedsiębiorcy z kolei *gig economy* daje dostęp i do prostych, i wysoce wyspecjalizowanych usług bez konieczności ponoszenia wysokich kosztów stałych. Dzięki temu firmy zyskują niespotykaną wcześniej zdolność adaptowania się do dynamicznie fluktuujących warunków rynkowych.

Oczywiście nie wszyscy muszą być z zachodzących zmian w jednakowym stopniu zadowoleni. Przełomowe innowacje, jak choćby wspomniane aplikacje mobilne, zawsze stanowią poważne wyzwanie dla tych, którzy dysponowali dominującą pozycją na danym rynku w chwili pojawienia się rzeczonych innowacji. Bezpieczna pozycja tych jednostek z dnia na dzień może zostać zachwiana. Tak stało się choćby z rynkowym statusem gigantów motoryzacyjnych, którzy przeoczyli pojawienie się na horyzoncie napędu elektrycznego.

Nowe formy pracy nie zawsze oznaczają też wyparcie starych. Firmy wciąż będą przecież potrzebować stałych zespołów. Zlecenie wszystkich zadań na zewnątrz mogłoby grozić poważnym uszczerbkiem w efektywności podstawowej działalności przedsiębiorstwa. *Gig economy* zmienia jednak zakres wolności dla każdej ze stron: pracowników, pracodawców i konsumentów.

*Łukasz Kozłowski, Pracodawcy RP*

fot. shutterstock

open eyes economy summit

# OEES²

MIĘDZYNARODOWY KONGRES EKONOMII WARTOŚCI

**ICE KRAKÓW** 14 – 15 XI 2017

# ZAPRASZAMY

## NA DRUGĄ EDYCJĘ

OEEMagazine to kolejny krok ruchu OEE, oficjalnie zainaugurowanego 15–16 listopada 2016 r. w czasie pierwszego **OPEN EYES ECONOMY SUMMIT**. Wydarzenie to przyciągnęło 1,4 tys. osób. Przez 2 dni wystąpiło przed nimi 100 prelegentów z 20 krajów, którzy mówili o zagrożeniach międzynarodowych, uczciwych bankach, przygniatającej nas górze odpadów, bezpieczeństwie danych i o wielu, wielu innych istotnych sprawach naszego świata.

## LICZBY MÓWIĄ ZA SIEBIE

W pierwszej edycji **OPEN EYES ECONOMY SUMMIT** wzięło udział ponad 1400 uczestników, reprezentujących 20 narodowości. 100 prelegentów wystąpiło w 50 spotkaniach. Byli wśród nich wybitni naukowcy i politycy oraz przedstawiciele ponad 30 firm, takich jak: IKEA, mBank czy Google.

## WYJĄTKOWE MIEJSCE

Jako centrum wydarzeń wybraliśmy Kraków, ale nie tylko dlatego, że tu mieszkamy. Przede wszystkim – ponieważ to miasto, w którym tradycja i kultura przenikają się z innowacyjnym otoczeniem biznesowym. Tutejsze uczelnie są inkubatorami idei, a firmy oraz władze miasta sprzyjają ich wdrażaniu. Centrum Kongresowe ICE Kraków wpisuje się w krajobraz tak rozumianego miasta-idei, oferując uczestnikom nie tylko bogate zaplecze techniczne czy nowoczesne sale, ale również możliwość obcowania z niepowtarzalną atmosferą.

## DOŁĄCZ DO NAS

Organizując OEES, nie tylko wymyślamy i wdrażamy innowacyjne idee, ale przede wszystkim gromadzimy wybitne umysły oraz ludzi, którzy mają otwarte oczy. Jeśli czytasz te słowa, oznacza to, że możesz stać się jednym z nas i przyczynić się do zmian, kształtujących przyszłość.

**W tym roku widzimy się 14 i 15 listopada, znów w Centrum Kongresowym ICE Kraków.**
**Rejestrujcie się, rezerwujcie terminy!**

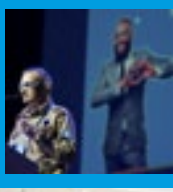

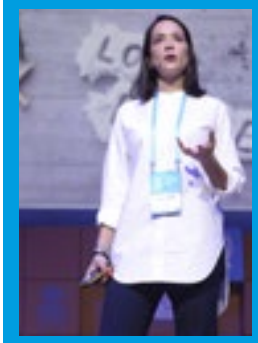

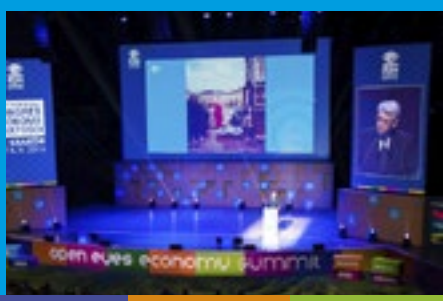

fot. OEES 2016

**ORGANIZATOR**
FUNDACJA GOSPODARKI I ADMINISTRACJI PUBLICZNEJ

**MIASTO GOSPODARZ**
Kraków

**WSPÓŁORGANIZATORZY**
UNIWERSYTET EKONOMICZNY W KRAKOWIE
gap.
Pracodawcy Rzeczypospolitej Polskiej

**PATRONAT HONOROWY**
Jacek Krupa
Marszałek Województwa Małopolskiego
KRAKÓW REGION MAŁOPOLSKA

**ORGANIZATORZY WYDARZEŃ KULTURALNYCH**
AGENCJA ARTYSTYCZNA GAP
nowohuckie centrum kultury

**GŁÓWNI PARTNERZY MEDIALNI**
RZECZPOSPOLITA
rp.pl

**POWERED BY**
Eskadra